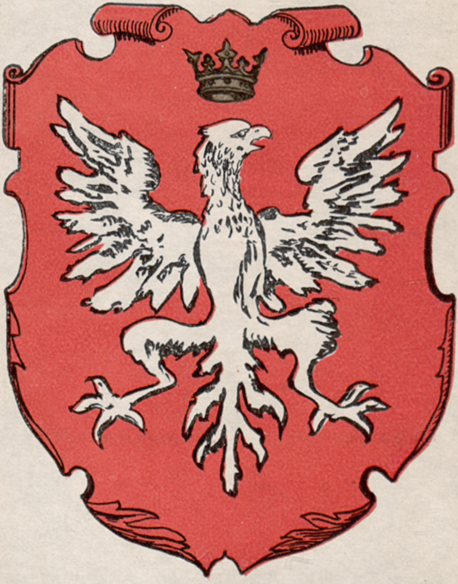
Henryk Sienkiewicz



POTOP

V



Szymon St. Deptuła

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

WYDANIE Z OBJAŚNIENIAMI I MAPAMI

TOM V

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
19 3 6

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WE LWOWIE

15/1936
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

ROZDZIAŁ I.

Biegli długo borem, pędząc tak, że sosny przydrożne zdawały się uciekać wtył w popłochu; mijali karczmy, cliaty pobereżników t, smolarnie, a czasem wozy, ciągnące pojedynczo lub po kilka ku Pilwiszkom. Od chwili do chwili książę Bogusław przechylał się w kulbace, jakby chcąc próbować oporu, ale wówczas ramiona jego wykręcały się jeno boleśniej w żelaznych rękach Kmicicowycli żołnierzy, a pan Andrzej przykładał mu znów lufę między łopatki — i biegli dalej, aż biała piana poczęła spadać płatami z koni.

Nakoniec trzeba było zwolnić, bo ludziom i koniom tchu zbrakło, a Pilwiszki pozostały tak daleko, że wszelka możliwość pogoni znikła. Jechali tedy czas jakiś stępą, w milczeniu, przesłonięci tumanem pary, która buchała z rumaków.

Książę przez długi czas nie odzywał się wcale, widocznie starał się uspokoić i odzyskać zimną krew, aż gdy tego dokazał, wówczas spytał:

— Dokąd mnie prowadzicie?

---

[1] strażników leśnych.

— Dowiesz się wasza książęca mość na końcu drogi — rzeki Kmicic.

Bogusław zamilkł, a po chwili znowu rzekł:

— Każ mnie puścić tym chamom, kawalerze, ho mi ramiona wykręcą. Jeśli to im każesz uczynić, będą po prostu wisieć, — inaczej, na pal pójdą.

— To szlachta, nie chamy! — odrzekł Kmicic — a co do kary, jaką im wasza książęca mość grozisz, to niewiadomo, kogo pierwej śmierć dosięgnie.

—■ Wiecie wy, na kogoście ręce podnieśli? — spytał książę, zwracając się do żołnierzy.

—• Wiemy — odpowiedzieli.

— Do miljona djabłów rogatych! — zawołał z wybuchem Bogusław; — każesz tym ludziom pofolgować mi, czy nie?

— Każę waszej książęcej mości związać wtył ręce, tak będzie wygodniej.

— Nie może być!... Doreszty mi ręce wykręcicie !

— Innego kazałbym uwolnić na parol, że nie ucieknie, ale wy umiecie słowo łamać! — odrzekł Kmicic.

— Jać inny parol daję, — odrzekł książę, — że nietylko przy pierwszej sposobności umknę z twoich rąk, ale że cię każę końmi rozerwać, gdy w moje wpadniesz!

— Co ma Bóg dać, to da! — odrzekł Kmicic —• ale wolę szczerą groźbę, niż fałszywe

obietnice. Puścić mu ręce, konia jeno za cugle powodować, a wasza książęca mość patrz tu! Oto mi jeno za cyngiel ruszyć, by ci kulę w krzyże wpędzić, a dalibóg nie chybię, bo nigdy nie chybiam. Siedźże spokojnie na koniu, umykać nie próbuj!

— Nie dbam, panie kawalerze, o ciebie i twoją krócicę...

To rzekłszy, książę wyciągnął zbolałe ręce, ażeby je wyprostować i z odrętwienia otrząsnąć, żołnierze tymczasem chwycili z dwóch stron konia za cugle i wiedli dalej.

Bogusław po chwili rzekł:

— Nie śmiesz mi w oczy spojrzeć, panie Kmicic, ztyłu się kry jesz.

— Owszem! — odparł pan Andrzej, i popędziwszy konia, odsunął Zawratyńskiego, a sam chwyciwszy za lejc książęcego rumaka, spojrzał Bogusławowi prosto w twarz.

—■ A jak tam moja szkapa? Zalim jej dołgał choć jedną cnotę?

— Dobry koń! —• odrzekł książę. — Chcesz, to go kupię.

— Bóg zapłać! Wart ten koń lepszego losu, niż zdrajcę do śmierci nosić.

— Głupiś, panie Kmicic!

— Bom w Radziwiłłów wierzył!

Znów nastała chwila milczenia, którą przerwał pierwszy książę:

— Powiedz mi, panie Kmicic, — rzekł, —■ czyś ty pewien, żeś przy zdrowych zmysłach

i że ci się rozum nie pomieszał? Czyś zapytał samego siebie, coś ty, szalony człecze, uczynił? Czy ci nie przyszło do głowy, że lepiejby dla ciebie teraz było, żeby cię matka nie rodziła? I że na tak zuchwały postępek nie odważyłby się nikt, nietylko w Polsce, ale i w Europie całej?

— To widać niewielka fantazja w tej Europie, bo ja waszą książęcą mość porwałem, trzymam, i nie puszczę.

—- Nie może być inaczej, tylko z szalonym sprawa! — zawołał jakby do siebie książę.

—• Mój mości książę! — odrzekł pan Andrzej. — Jesteś w moich ręku i z tem się zgódź, a słów próżno nie trać! Pogoń nie nadejdzie, bo tam twoi ludzie dotychczas myślą, żeś dobrowolnie z nami wyjechał. Kiedy cię moi ludzie pod łokcie brali, nikt tego nie widział, bo nas tuman przesłonił, a choćby nie tuman, to z dalekości ani masztalerze, ani strażby nie dojrzała. Przez dwie godziny czekać cię będą, przez trzecią się niecierpliwić, przez czwartą i piątą niepokoić, a w szóstej wyślą ludzi na zwiady, a my tymczasem będziem za Marjampolem.

—• I co z tego?

— To z tego, że nie zgonią, — a choćby i zaraz byli zaczęli gonić, i takby nie zgonili, bo wasze konie prosto z drogi, a nasze wypoczęte. Gdyby zaś jakim cudem zgonili, i to na nic, bo jak mnie tu wasza książęca mość wi-

dzisz, takbym jej łeb roztrzaskał... co i uczynię, jeśli inaczej nie będzie można. Ot, co jest! Radziwiłł ma dwór, wojsko, działa, dragonów, a Kmicic sześciu ludzi, i pomimo tego Kmicic Radziwiłła za kark trzyma.

— Co dalej? — rzekł książę.

— Nic dalej! Dalej pojedziem przed siebie tam, gdzie mi się spodoba. Dziękuj wasza książęca mość Bogu, żeś żyw dotąd, bo gdyby nie to, żem ja sobie kazał z dziesięć wiader wody rano na łeb wychlustać, tobyś już był na tamtym świecie, alias w piekle, z dwóch racyj: jako zdrajca, i jako kalwin.

— I ważyłbyś się na to?

— Nie chwaląc się, nie znajdziesz wasza książęca mość łatwo takowej imprezy, na którąbym się nie ważył, a masz najlepszy dowód na sobie.

Książę spojrzał uważniej w oblicze junaka i rzekł:

— Djabeł ci to, kawalerze, na twarzy napisał, żeś na wszystko gotów, i to też racja, że mam dowód na sobie... Powiem ci nawet, żeś potrafił mnie samego śmiałością zadziwić, a to niełatwa rzecz.

— Wszystko mi jedno. Podziękuj wasza książęca mość Bogu, żeś dotąd żyw, i kwita!

— Nie, panie kawalerze! Przedewszystkiem ty za to Bogu podziękuj... Bo gdyby jeden włos spadł z głowy mojej, to wiedz, że cię Radziwiłłowie znajdą choćby pod ziemią. Je-

śli liczysz na to, że teraz niezgoda między nami i że cię nieświescy i ołyccy ścigać nie będą, to się mylisz. Krew radziwiłłowska musi zostać pomszczona, przykład straszliwy musi być dany, inaczej nie żyćby nam w tej Rzeczypospolitej. Za granicą także się nie schronisz! Cesarz niemiecki cię wyda, bom ja książę Rzeszy Niemieckiej, elektor brandenburski mój wuj, książę Oranji jego szwagier, królestwo francuscy i ich ministrowie moi przyjaciele. Gdzie się schronisz?.... Turcy i Tatarzy cię sprzedadzą, choćbyśmy mieli pół fortuny im oddać. Kąta na ziemi nie znajdziesz, ani takich puszcz, ani takich ludów...

— Dziwno mi to, — rzekł Kmicic, — że się wasza książęca mość o moje zdrowie zgóry tak troszczysz, wielka persona, Radziwiłł!... A przecie mi tylko cyngla ruszyć...

— Temu nie neguję. Nieraz się już zdarzyło w świecie, że wielki człowiek ginął z rąk prostaka. Toć i Pompejusza ciura zabił, toć królowie francuscy z rąk ludzi niskiego stanu ginęli, toć, nie dalej szukając, i wielkiemu ojcu mojemu toż samo się przygodziło... Jeno, pytam się ciebie, co dalej?

— Et! co mi tam! Nie dbałem ja nigdy o to wielce, co jutro będzie. Przyjdzie ze wszystkimi Radziwiłłami się zahaczyć, to jeszcze Róg to wie, kto komu lepiej przygrzeje. Już to dawno miecz mi ciągle wisiał nad głową, a dlatego niech jeno oczy zmrużę, to

i śpię smaczno, jak suseł. W dodatku, mało mi będzie jednego Radziwiłła, to porwę drugiego i trzeciego...

— Jak mi Bóg miły, kawalerze, tak mi się podobasz!... Bo to ci powtarzam, że chyba ty jeden w Europie mogłeś się na coś podobnego ważyć. Ani się bestja zatroska, ani pomyśli, oo jutro będzie! Lubię śmiałych ludzi, a coraz ich mniej na świecie... Ot, porwał sobie Radziwiłła i trzyma go jak swego... Gdzieżeś się taki uchował, kawalerze? Skąd jesteś?

— Chorąży orszański!

— Panie chorąży orszański, żal mi, że Radziwiłłowie tracą takiego człowieka, jak waćpan, bo z takimi ludźmi siła można dokazać. Gdyby nie o mnie chodziło... Hm! nie żałowałbym niczego, by cię skaptować...

— Za późno! — rzekł Kmicic.

— To się rozumie! — odpowiedział książę.— Wiele za późno! Ale to ci przyrzekam, że każę cię po prostu rozstrzelać, boś godzien żołnierską śmiercią zginąć... Co za djabeł wcielony! Z pośrodka moich ludzi mnie porwał!

Kmicic nie odrzekł nic; książę zaś zamyślił się przez chwilę, poczem zakrzyknął:

— Wreszcie, pal cię sześć! Jeżeli puścisz mnie natychmiast, nie będę się mścił! Dasz mi tylko parol, że nikomu nie wspomnisz co zaszło i ludziom nakażesz milczenie.

— Nie może być! — rzekł Kmicic.

•— Chcesz wykupu?

— Nie chcę.

— Pocóżeś, u djabła, mnie porwał?! Nie rozumiem!

— Siłaby gadać! Dowiesz się wasza książęca mość później.

— A co mamy robić przez drogę, jeśli nie gadać? Przyznaj się, kawalerze, do jednej rzeczy: żeś mnie porwał w chwili cholery i desperacji... i teraz sam dobrze nie wiesz, co ze mną czynić?

— To moja rzecz! — odpowiedział Kmicic — a czy nie wiem, co czynić, pokaże się niebawem.

Niecierpliwość odbiła się na twarzy księcia Bogusława.

— Niezbyt rozmownyś, panie chorąży orszański, — rzekł, — ale odpowiedz mi przynajmniej szczerze na jedno pytanie: zaliś już jechał do mnie na Podlasie z gotowym zamiarem targnięcia się na moją osobę, czyli też później, w ostatniej chwili, przyszło ci to do głowy.

— Na to mogę szczerze waszej książęcej mości odpowiedzieć, bo i mnie samego w gębę pali, abym wam powiedział, dlaczego porzuciłem waszą stronę i pókim żyw, póki mi tchu w gardzieli stanie, więcej do niej nie wrócę. Książę wojewoda wileński mnie zwiódł i naprzód na to mnie wyciągnął, żem mu na krucyfiksie zaprzysiągł, jako go nie opuszczę do śmierci...

— A to pięknie dotrzymujesz... Niema co mówić!...

— Tak jest! — zawołał gwałtownie Kmicic. — Jeślim duszę stracił, jeśli muszę być potępiony, to przez was... Ale miłosierdziu Boskiemu się oddaję... i wolę duszę stracić, wolę gorzeć wiekuiście, niż dłużej grzeszyć świadomie i dobrowolnie, niż dłużej służyć, wiedząc, że grzechowi i zdradzie służę. Niech Bóg zmiłuje się nade mną... Wolę gorzeć! Wolę stokroć gorzeć... bo i takbym gorzał, gdybym przy was został. Nie mam nic do stracenia... Ale to przynajmniej na sądzie Boskim powiem: „Nie wiedziałem, na com przysięgał, a gdym zmiarkował, że na zdradę ojczyźnie, na zgubę imieniowi polskiemu przysiągłem, tedym przysięgę złamał... Teraz mnie, Panie Boże, sądź!“

— Do rzeczy! do rzeczy! — rzekł spokojnie książę Bogusław.

Lecz pan Andrzej oddychał ciężko i jechał czas jakiś w milczeniu, z namarszczoną brwią i okiem wbitem w ziemię, jak człowiek nieszczęściem przygnieciony.

— Do rzeczy! — powtórzył książę Bogusław.

Kmicic zbudził się jakoby ze snu, potrząsnął głową i mówił:

— Wierzyłem księciu hetmanowi, jakbym ojcu rodzonemu nie wierzył. Pamiętam tę ucztę, gdy to nam pierwszy raz powiedział,

że się ze Szwedem połączył. Com ja wtedy przecierpiał, com przeszedł, Bóg mi policzy! Inni, zacni ludzie, ciskali mu buławy pod nogi, przy ojczyźnie się oponując, a jam stał, jak pień, z buławą, ze wstydem i z hańbą, w upokorzeniu, w męce... bo mi do oczu powiedziano: „zdrajca!“ I kto powiedział!... E!... lepiej nie wspominać, bym się zaś nie zapamiętał, bym nie oszalał i waszej książęcej mości zaraz tu w łeb nie strzelił... Wyście to, wy, zdrajcy, sprzedawczyki, wyście mnie do tego doprowadzili!

Tu pan Kmicic począł patrzeć strasznym wzrokiem na księcia i nienawiść wybiła mu z dna duszy na twarz, nakształt smoka, który wypełznął z pieczary na światło dzienne, — a książę Bogusław patrzył na junaka spokojnem, nieulękłem okiem, nakoniec rzekł:

— Owszem, panie Kmicic, to mnie zajmuje... Mów dalej...

Kmicic puścił cugle książęcego konia, zdjął czapkę, jakby chcąc gorejącą głowę ochłodzić.

— Tej samej nocy — mówił — poszedłem do księcia hetmana, bo i sam kazał mnie sprowadzić. Myślałem sobie: wypowiem mu służbę, złamię przysięgę, uduszę w tych oto rękach, prochami wysadzę Kiejdany, a potem niech się co chce dzieje! On też wiedział, żem na wszystko gotów — znał mnie! Widziałem to dobrze, iż palcami w puzdrze przebierał,

w którem były pistolety. Nic to, — myślę sobie, — albo mnie chybi, albo żabi je! Ale on począł mnie reflektować, począł mówić, takie perspektywy mnie, prostakowi, pokazować, za takiego zbawcę się podawać, że wiesz wasza książęca mość, co się stało?

— Przekonał młodzika! — rzekł Bogusław.

— Żem mu do nóg padł, — zakrzyknął Kmicic, — i ojca, jedynego zbawcę ojczyzny w nim widziałem, żem mu się oddał, jako djabłu, z duszą, z kadłubem, żem był gotów za niego, za jego uczciwość, z wieży kiejdańskiej na łeb się rzucić!

— Domyślałem się, że taki będzie koniec! — zauważył Bogusław.

— Com stracił w tej służbie, o tern nie będę gadał, ale oddałem mu ważne usługi: utrzymałem w posłuszeństwie moją chorągiew, która tam teraz została, bogdaj mu na pohybel! — inne, które się buntowały, znacznie wyciąłem... Zababrałem ręce w krwi bratniej, w tej myśli, iż sroga to dla ojczyzny nécessitas! Często mnie dusza bolała, gdy dobrych żołnierzów rozstrzeliwać kazał; często natura szlachecka rebelizowała przeciw niemu, gdy raz i drugi przyrzekł mi coś, a potem nie dotrzymał. Alem to myślał: ja głupi, on mądry! — tak trzeba! Teraz dopiero, gdym się o onych truciach z listów dowiedział, aż mi szpik w kościach zdrętwiał! Jakże to? Takaż to wojna? To truć chcecie żołnierzów? I to

ma być po hetmańsku? To ma być po radziwiłłowsku? Ja to mam takie listy wozić?...

— Nie znasz się na polityce, kawalerze — przerwał Bogusław.

— Niechże ją pioruny zatrzasną! Niechże ją podstępni Włocliowie robią, nie szlachcic, którego Bóg zacniejszą od innych krwią przyozdobił, ale też i zobowiązał, aby szablą, nie apteką 1, wojował i imienia nie hańbił!

— Te listy tedy tak cię zraniły, że postanowiłeś Radziwiłłów opuścić?

— Nie listy! Byłbym je katu oddał, albo w ogień cisnął, bo ja nie od takich funkcyj, — ale nie listy! Wyrzekłbym się posłowania, ale sprawy nie odstąpił. Czy ja wiem? ! Poszedłbym choć w dragony, albo kupębym nową zebrał i znów Cliowańskiego po staremu podchodził. Ale już mi zaraz przyszło podejrzenie: a nuż oni i ojczyznę chcą otruć, tak jak tych żołnierzów?... Bóg dał, żem nie wybuchnął, choć mi głowa, jako granat, gorzała, żem się opamiętał, żem miał tę moc powiedzieć sobie: ciągnijże go za język, a dowiesz się całej prawdy, — nie zdradź, co masz w sercu, podaj się za zaprzańca, za gorszego od samych Radziwiłłów, i ciągnij za język.

— Kogo? mnie?

— Tak jest! i Bóg mi pomógł, żem ja, prostak, statystę w pole wywiódł, żeś wasza

---

[1] tu: truciznami.

książęca mość, mając mnie za szelmę ostatniego, żadnego szelmostwa waszego nie ukrył, wszystko wyznał, wszystko wypowiedział, jakoby na dłoni wypisał! Włosy mi na łbie dębem stawały, alem słuchał i wysłuchał do końca!... O zdrajcy! O arcypiekielnicy! O parrycydowie!... Jakże to piorun was dotąd nie pobił? Jakże to ziemia was dotąd nie pożarła?... To z Chmielnickim, ze Szwedami, z elektorem, z Rakoczym i z samym djabłem na zgubę tej Rzeczypospolitej się zmawiacie? To płaszcz z niej clicecie sobie wykroić? Zaprzedać? Rozdzielić? Rozerwać jako wilcy tę matkę waszą? Takaż wasza wdzięczność za wszystkie dobrodziejstwa, któremi was obsypała, za one urzędy, honory, godności, substancje, starostwa, za takie fortuny, których królowie zagraniczni wam zazdroszczą?... I gotowiście nie zważać na onej łzy, na mękę, na ucisk? Gdzie w was sumienie? Gdzie wiara, gdzie uczciwość?!... Co za monstra na świat was wydały?...

■—■ Panie kawalerze, — przerwał zimno książę Bogusław, — masz mnie w ręku i możesz mnie zabić, ale o jedno cię proszę: nie nudź mnie!

Umilkli obaj.

Jednakże ze słów Kmicica ukazywało się jasno, że żołnierz zdołał wyciągnąć całą nagą prawdę z dyplomaty, i że książę popełnił wielką nieostrożność, wielki błąd, zdradziw-

szy najtajniejsze zamysły własne i hetmańskie. Ubodło to jego miłość własną, więc też nie racząc ukrywać złego humoru, rzekł:

— Nie przypisuj tylko tego własnemu dowcipowi, panie Kmicic, jeżeliś ze mnie prawdę wydostał. Mówiłem otwarcie, bom myślał, że książę wojewoda lepiej zna się na ludziach i przyśle człowieka godnego ufności.

— Książę wojewoda przysłał człowieka godnego ufności, — odparł Kmicic, — aleście go już stracili. Odtąd tylko szelmy służyć wam będą!

— Jeżeli sposób, w jaki mnie porwałeś, nie był szelmowski, to niech mi w pierwszej bitwie szpada do ręki przyrośnie.

— To fortel! W twardej ja się szkole ich uczył. Chciałeś wasza książęca mość poznać Kmicica, — masz go! Nie pojadę z próżnemi rękoma do naszego pana miłościwego.

— I myślisz, że mi włos z głowy z ręki Jana Kazimierza spadnie?

— To sędziów, nie moja, sprawa!

Nagle Kmicic zatrzymał konia.

— Hej! — rzekł. — A list księcia wojewody? Masz go wasza książęca mość przy sobie?

— Choćbym miał, tobym nie dał! — rzekł książę. — Listy zostały w Pilwiszkach.

— Obszukać go! — krzyknął Kmicic.

Żołnierze porwali znów księcia pod ramiona, Soroka zaś począł szukać mu po kieszeniach. Po chwili znalazł list.

— Oto jeden dokument przeciw wam i waszym robotom — rzekł, biorąc go, pan Andrzej. — Dowie się z niego król polski, co zamierzacie, dowie się i szwedzki, że chociaż teraz mu służycie, przecie już książę wojewoda zastrzega sobie wolność recedere, jeśliby się noga Szwedom miała powinąć. Wyjdą najaw wszystkie wasze zdrady, wszystkie machinacje. A mam przecie i inne listy, do króla szwedzkiego, do Wittemberga, do Radziejowskiego... Wielcy jesteście i potężni, a przecie nie wiem, czyli wam ciasno nie będzie w tej ojczyźnie, gdy wam obaj królowie godną waszych zdrad rekompensę obmyślą.

Oczy księcia Bogusława zabłysły złowrogiem światłem, ale po chwili opanował gniew i rzekł:

— Dobrze, kawalerze! Na śmierć i życie między nami!... Spotkamy się!... Możesz przysporzyć nam trosk i sprawić wiele złego, ale to jeno powiem: nikt nie śmiał dotąd tego uczynić w tym kraju, coś ty uczynił, i biada tobie i twoim!

— Ja sam mam szablę do obrony, a swoich mam czem wykupić! — rzekł Kmicic.

— Ach! masz mnie jako zakładnika! — rzekł książę.

I mimo całego gniewu, odetchnął spokojnie; zrozumiał jedno w tej chwili, że w żadnym wypadku życiu jego nic nie grozi, bo

jego osoba zbyt jest Kmicicowi potrzebna. Postanowił z tego skorzystać.

Tymczasem puścili się znów rysią i po godzinie drogi ujrzeli dwóch jeźdźców, z których każdy prowadził po parze jucznych koni. Byli to ludzie Kmicicowi, wysłani naprzód z Pilwiszek.

— A co tam? — spytał ich Kmicic.

— Konie nam się zmachały okrutnie, wasza miłość, bośmy nie wypoczywali dotąd.

— Zaraz spoczniemy!...

— Widać tu chałupę na zakręcie, może to karczma.

— Niech wachmistrz ruszy naprzód obroki przygotować. Karczma, czy nie karczma, trzeba stanąć!...

— Wedle rozkazu, panie komendancie.

Soroka wypuścił konia, a oni podążali za nim zwolna. Kmicic jechał z jednej strony księcia, Lubieniec z drugiej. Książę uspokoił się zupełnie i nie wyciągał więcej na rozmowę pana Andrzeja. Zdawał się być zmęczony drogą, czy też położeniem, w jakiem się znajdował, i głowę pochylił nieco na piersi, a oczy miał przymknięte. Jednakże od czasu do czasu rzucał ukośne spojrzenia, to na Kmicica, to na Lubieńca, którzy trzymali cugle jego konia, jakby upatrując, którego łatwiej będzie obalić, aby się wyrwać na wolność.

Tymczasem zbliżyli się do budowli, leżącej przy drodze, na cyplu[1] lasu. Nie była to karczma, ale kuźnia i kołodziejnia zarazem, W której jadący traktem zatrzymywali się dla przekuwania koni, i reparacji wozów. Między samą kuźnią a drogą, rozciągał się niewielki majdan, nie ogrodzony płotem, zrzadka porosły wydeptam} trawą; szczątki wozów i popsowane koła leżały rozrzucone tu i owdzie na owym majdanie, ale z przejezdnych nie było nikogo, jeno koń Soroki stał przywiązany do słupa. Sam Soroka rozmawiał przed kuźnią z kowalem Tatarem i dwoma jego pomocnikami.

— Niezbyt obfity będziem mieć popas, — rzekł, uśmiechając się książę, ■— niczego tu nie dostanie.

— Mamy żywność i gorzałkę ze sobą — rzekł Kmicic.

— To dobrze! Trzeba nam będzie sił nabrać.

Tymczasem stanęli. Kmicic zatknął za pas krócicę, zeskoczył z kulbaki, i oddawszy bachmata w ręce Soroki, chwycił znów za cugle książęcego konia, którego zresztą Lubieniec nie popuszczał z ręki z drugiej strony.

— Wasza książęca mość zechce zejść z konia! — rzekł pan Andrzej.

— A to czemu? Będę jadł i pił z kulbaki — rzekł książę, pochylając się ku niemu.

[1] końcu klina.

— Proszę na ziemię! — zawołał groźnie Kmicic.

— A ty w ziemię! — krzyknął straszliwym głosem książę, i wyrwawszy z szybkością błyskawicy krócicę z za pasa Kmicica, huknął mu w samą twarz.

— Jezus Mar ja! — zakrzyknął Kmicic.

W tej chwili koń pod księciem, uderzony ostrogami, wspiął się tak, iż wyprostował się prawie zupełnie, książę zaś przekręcił się jak wąż na kulbace ku Lubieńcowi i całą siłą potężnego ramienia pchnął go lufą między oczy.

Lubieniec wrzasnął przeraźliwie i spadł z konia.

Zanim inni mogli zrozumieć, co się stało, zanim odetchnęli, zanim okrzyk zgrozy zamarł na icli wargach, Bogusław roztrącił icli jak burza, wypadł z majdanu na drogę, i pomknął wichrem ku Pilwiszkom.

— Łapaj! Trzymaj! Bij! — rozległy się dzikie głosy.

Trzej żołnierze, którzy jeszcze siedzieli na koniach, puścili się za nim; lecz Soroka chwycił muszkiet oparty o ścianę i począł mierzyć do uciekającego, a raczej do jego rumaka.

Rumak zaś wyciągnął się jak sarna i biegł z szybkością strzały wypuszczonej z cięciwy. Huknął strzał. Soroka rzucił się przez dym, aby skutek lepiej zobaczyć; oczy przysłonił ręką, patrzył przez chwilę i wreszcie wykrzyknął:

— Chybiony!

W tej chwili Bogusław zniknął na zakręcie, a za nim zniknęli goniący.

Wówczas wachmistrz zwrócił się do kowala i jego pomocników, którzy patrzyli aż dotąd z niemem przerażeniem na to, co się stało, i zawołał:

— Wody!

Kowalczuki skoczyli ciągnąć żórawia, a Soroka klęknął przy leżącym nieruchomie panu Andrzeju. Twarz Kmicica była pokryta sadzą wystrzału i soplami krwi — oczy miał przymknięte, lewą brew, powiekę i lewy wąs osmalone. Wachmistrz począł naprzód dotykać zlekka palcami jego czaszki. Dotykał długo i ostrożnie, poczem mruknął:

— Głowa cała...

Lecz Kmicic nie dawał znaku życia i krew wydobywała mu się z twarzy obficie. Tymczasem kowalczuki przynieśli wiadro wody i szmaty do obcierania. Soroka z równąż powolnością i uwagą zabrał się do obmywania twarzy Kmicica.

Nakoniec rana ukazała się z pod krwi i sadzy. Kula rozorała głęboko Kmicicowi lewy policzek i zniosła zupełnie koniec ucha. Soroka począł badać, czy kość policzkowa nie jest strzaskana.

Po chwili przekonał się, że nie, i odsapnął głęboko. Równocześnie Kmicic pod wpływem zimnej wody i bólu jął dawać znaki

życia. Twarz poczęła mu drgać, piersi podnosiły się oddechem.

— Żyje!... Nic mu nie będzie! — zawołał radośnie Soroka.

I łza stoczyła się po zbójeckiej twarzy wachmistrza.

Tymczasem na zakręcie drogi ukazał się Biłous, jeden z trzech żołnierzy, którzy pognali za księciem.

— A co? — spytał Soroka.

Żołnierz kiwnął ręką.

— Nic!

— A tamci prędko wrócą?

— Tamci nie wrócą.

Wachmistrz złożył drżącemi rękoma głowę Kmicica na progu kuźni i zerwał się na równe nogi.

— Jakże to?

— Panie wachmistrzu, to cliarakternik! Pierwszy dogonił go Zawratyński, bo miał najlepszego konia, i dlatego, że mu się pozwolił dogonić. W naszych oczach wydarł mu szablę z ręki i sztychem przebił. Ledwie mieliśmy czas zakrzyknąć. Witkowski był bliżej i skoczył na ratunek... A ten ściął go w moich oczach... jakby go piorun zatrzasnął!... Ani zipnął... A jam nie czekał kolei... Panie wachmistrzu! on tu gotów jeszcze wrócić!

— Nic tu po nas! — krzyknął Soroka. — Do koni!

I w tejże samej chwili poczęli wiązać nosze między końmi dla Kmicica.

Dwóch ludzi z rozkazu Soroki stanęło z muszkietami na drodze, z obawy powrotu straszliwego męża.

Lecz książę Bogusław, w przekonaniu, że Kmicic nie żyje, wracał spokojnie do Pilwiszek.

0 zmroku już spotkał go cały oddział rajtarów, wysłany ¡przez Patersona, który zaniepokoił się długą nieobecnością księcia.

Oficer, ujrzawszy księcia, skoczył ku niemu.

— Wasza książęca mość... Nie wiedzieliśmy...

— Nic to! — przerwał książę. — Przejeżdżałem konia w kompanji tego kawalera, od którego go kupiłem.

A po chwili dodał:

— I zapłaciłem dobrze.

ROZDZIAŁ II.

Wierny Soroka wiózł swego pułkownika przez lasy głębokie, sam nie wiedząc, dokąd jechać, co począć, gdzie się obrócić.

Kmicic nietylko był ranny, ale i ogłuszony wystrzałem. Soroka od czasu do czasu maczał szmatę w kuble wiszącym przy koniu i obmywał mu twarz; chwilami zatrzymywał się dla poczerpnięcia świeżej wody przy strumie-

niacli i jeziorkach leśnych, ale ani woda, ani postoje, ani ruch koriia, nie zdołały zrazu wrócić panu Andrzejowi przytomności — i leżał jak martwy, aż żołnierze jadący razem, a mniej doświadczeni w rzeczach ran od Soroki, poczęli się troskać, czy żyje.

— Żyje, — odpowiadał Soroka, — za trzy dni tak będzie na koniu siedział, jak każdy z nas.

Jakoż w godzinę później Kmicic otworzył oczy i z ust jego wydobyło się jedno tylko słowo:

— Pić!

Soroka przytknął blaszankę z czystą wodą do jego warg, lecz pokazało się, że otwarcie ust sprawia panu Andrzejowi ból nieznośny —; i nie mógł pić. Ale przytomności już nie stracił; jednakże o nic nie pytał, jakgdyby nic nie pamiętał; oczy miał szeroko otwarte i patrzył bezmyślnie na głębie leśne, na szmaty błękitnego nieba, widne nad głowami między gęstwiną, i na swoich towarzyszów; patrzył tak, jak człowiek zbudzony ze snu lub otrzeźwiony z upicia, i pozwolił, nie mówiąc ani słowa, opatrywać się Soroce, nie jęczał przy rozwiązywaniu bandażów, — owszem, zimna woda, którą wachmistrz obmywał ranę, zdawała się sprawiać mu przyjemność, bo czasem uśmiechał się oczyma.

A Soroka pocieszał go;

— Jutro, panie pułkowniku, dur [1] przejdzie. Da Bóg, że się uchronim.

Jakoż pod Wieczór odurzenie poczęło istotnie przechodzić, bo przed samym zachodem słońca Kmicic spojrzał przytomniej i nagle spytał:

— Co tu taki szum?

— Jaki szum? Niema żadnego — odpowiedział Soroka.

I widocznie szumiało tylko w głowie pana Andrzeja, bo wieczór był pogodny. Zachodzące słońce, przenikając skośnemi promieniami w gęstwinę, przesycało złotemi blaskami mrok leśny i bramowało czerwone pnie sosen. Wiatr nie wiał — i tylko tu i owdzie z leszczyny, brzóz, i grabów spływały liście na ziemię, albo zwierz pierzchliwy czynił lekki szelest, pomykając w głębiny boru przed jezdnymi.

Wieczór był chłodny, jednakże gorączka poczęła widocznie chwytać pana Andrzeja, bo po kilkakroć powtórzył:

— Mości książę! między nami na śmierć i życie!

Ściemniło się wreszcie zupełnie i Soroka myślał już o noclegu, ale że weszli w mokry bór i błoto poczęło chlupotać pod kopytami, jechali więc dalej, aby dobrać się do wysokich i suchych części lasu.

---

[1] odurzenie, zamroczenie.

Jechali godzinę, i drugą, nie mogąc przebrać się przez bagno. Tymczasem uczyniło się «nów widniej, bo zeszedł (księżyc w pełni. Nagle Soroka, jadący na przedzie, zeskoczył z kulbaki i począł pilno rozpatrywać grunt leśny.

— Konie tędy szły, — rzekł, — widać ślady na błocie.

— Kto mógł tędy przejeżdżać, kiedy tu żadnej drogi niema? — rzekł jeden z żołnierzy podtrzymujących pana Kmicica.

— Ale ślady są — i to kupa cała! Ot, tam, między sosnami, widać jasno jak na dłoni.

—■ Może bydło chodziło.

— Nie może być. Nie pora leśnych pastwisk, widać wyraźnie kopyta, — jużci jacyś ludzie musieli tędy przejeżdżać. Dobrzeby było choćby budę leśniczą znaleźć.

— To* jedźmy śladem.

— Jazda!

Soroka wskoczył znowu na konia i ruszyli. Ślady kopyt, w torfiastym gruncie, ciągle były wyraźne, a niektóre, o ile przy świetle księżyca można było miarkować, wydawały się zupełnie świeże. Jednakże konie zapadały do kolan i wyżej. Już obawiali się żołnierze, czy przebrną, czy głębsze jeszcze topiele nie odkryją się przed nimi, gdy p0‘ upływie pół godziny do nozdrzy ich doszedł zapach dymu i żywicy.

— Smolarnia tu musi być! — rzekł Soroka,

— A ot! tam skry widać! — rzeki żołnierz.

I rzeczywiście, w dali ukazała się smuga czerwonawego, przesyconego płomieniem dymu, około której skakały iskry tlejącego pod ziemią ogniska.

Zbliżywszy się, ujrzeli żołnierze chatę, studnię i dużą szopę, zbitą z bierwion sosnowych. Konie, zmęczone drogą, poczęły rżeć — liczne rżenia odpowiedziały im z pod szopy, a jednocześnie przed jezdnymi stanęła jakaś postać ubrana w kożuch, przewrócony wełną nawierzch.

— A siła [1] koni? — spytał człowiek w kożuchu.

— Chłopie! Czyja to smolarnia? — rzekł Soroka.

— Coście wy za jedni? Skądeście się tu wzięli? — pytał .znowu smolarz, głosem, w którym widoczny był przestrach i zdziwienie.

— Nie bój się! — odpowiedział Soroka, — nie zbóje!

— Jedzcie w swoją drogę, nic tu po was!

— Zamknij pysk i do- chaty prowadź, dopóki prosim. A nie widzisz, chamie, że rannego wiezieni.

—• Coście za jedni?

— Pilnuj, abym ci z rusznicy nie odpowiedział. Lepsi od ciebie, parobku! Pro-

---

[1] dużo.

wadź do cliaty, a nie, to cię we własnej smole ugotujem.

— Jeden się przed wami nie obronię, ale będzie nas więcej. Gardła wy tu położycie!

— Będzie i nas więcej, prowadź!

— To i chodźcie, nie moja sprawa.

— Co masz jeść dać, to daj — i gorzałki. Pana wieziemy, który zapłaci.

— Byle stąd żyw wyjechał.

Tak rozmawiając, weszli do chaty, w której na kominie palił się ogień, a z garnków postawionych na trzonie rozchodził się zapach duszonego mięsiwa. Izba była dość przestronna. Soroka zaraz na wstępie zauważył, iż pod ścianami stało sześć tapczanów, okrytych obficie baraniemi skórami.

— To tu jakaś kompan ja mieszka — mruknął do towarzyszów. — Podsypać rusznice, i czuj duch! Tego chama pilnować, by nie umknął. Niechże dzisiejszej nocy kompanja śpi na dworze, bo my z izby nie ustąpim.

— Panowie nie przyjadą dziś — rzekł smolarz.

— To i lepiej, bo nie będziem się o kwaterę spierali, a jutro sobie pojedziem — odparł Soroka; — tymczasem wykiń mięsiwo na misę, bośmy głodni, i koniom owsa nie żałuj.

— A skądby tu owsa wziąć przy smołami, wielmożny panie żołnierzu?

— Słyszeliśmy konie pod szopę, to musi być i owies; smołą ich nie żywisz.

— To nie moje konie.

— Czy twoje, czy nie twoje, jeść muszą, jako i nasze. Żywo, chłopie! żywo! jeśli ci skóra miła.

Smolarz nie odrzekł nic. A tymczasem żołnierze złożyli śpiącego pana Andrzeja na tapczanie — poczem sami zasiedli do wieczerzy i jedli chciwie duszone mięsiwo wraz z bigosem, którego obszerny sagan znalazł się na kominie. Były także i jagły, a w komorze, przy izbie, znalazł Soroka spory gąsiorek gorzałki.

Jednakże sam zlekka się tylko zakropił i żołnierzom pić nie dał, bo postanowił mieć się przez noc na baczności. Ta opróżniona chata z tapczanami na sześciu mężów i z szopą, w której rżało stado koni, wydała mu się dziwną i podejrzaną. Sądził poprostu, że to jest schronisko zbójeckie, tern bardziej, że w tej samej komorze, z której wyniósł gąsiorek, odkrył sporo oręża pozawieszanego na ścianach i beczkę prochu, oraz rozmaite rupiecie, widocznie w dworach szlacheckich porabowane. Na wypadek, gdyby nieobecni mieszkańcy tej chaty wrócili, nie można było spodziewać się od nich nietylko gościnności, ale nawet miłosierdzia; zamierzył więc Soroka zająć zbrojną ręką chatę i utrzymać się w niej przemocą lub drogą układów.

Było to konieczne i ze względu na zdrowie

Kmicica, dla którego podróż mogła stać się Zgubną, i ze względu na wspólne wszystkich bezpieczeństwo. Soroka był to żołnierz kuty i bity, któremu jedno tylko uczucie obcem było, to jest uczucie trwogi. A jednak teraz, na wspomnienie księcia Bogusława, strach go brał. Zostając z dawnych lat w służbie Kmicica, wierzył on ślepo nietylko w męstwo, ale i w szczęście młodego pana; widział niejednokrotnie jego czyny, przechodzące zuchwalstwem miarę wszelką i graniczące prawie z szaleństwem, które jednak udawały się i uchodziły płazem. Odbył z Kmicicem wszystkie „podchody“ pod Chowańskiego, brał udział we wszystkich zabijatykacli, napadach, zajazdach, porwaniach, i doszedł do przekonania, że młody pan wszystko może, wszystko potrafi, z każdej toni się wyratuje i każdego, kogo zechce, pogrąży. Kmicic tedy był dla niego uosobieniem największej po-, tęgi i szczęścia — a owóż widocznie teraz trafił swój na swego, — nie! widocznie pan Kmicic trafił na lepszego od siebie... Jakto? Jeden mąż, który był już w ręku Kmicica, porwany, bezbronny, zdołał wydostać się z jego rąk i — mało tego: — obalić samego Kmicica, pogromić jego żołnierzy i przerazić ich tak, że zbiegli, bojąc się jego powrotu? Był to dziw nad dziwy i Soroka głowę tracił, myśląc o tern — wszystkiego się bowiem na tym świecie spodziewał, tylko nie tego, by

znalazł się ktoś taki, ktoby po panu Kmicicu przejechał.

— Zali skończyło się już nasze szczęście? — mruczał do siebie, rozglądając się ze zdumieniem dokoła.

Więc choć dawniej, bywało, szedł z zamkniętemi oczyma za panem Kmicicem na kwatery Cliowańskiego, otoczone ośmdziesięciotysiączną armją, teraz, na wspomnienie tego długowłosego księcia z panieńskiemi oczyma i różową twarzą, ogarniał go zabobonny przestrach. I sam nie wiedział, co czynić. Przerażała go myśl, że jutro lub pojutrze trzeba będzie zjechać na bite trakty, na których może ich spotkać sam straszliwy książę lub jego pogoń. Dlatego to właśnie zjechał z drogi w głębokie lasy — a obecnie pragnął zostać w onej leśnej chacie, pókiby się nie zmyliły i nie znużyły pogonie.

Lecz że i to schronisko, z innych powodów, nie wydawało mu się bezpiecznem, chciał wiedzieć, czego się trzymać, i w tym celu kazał żołnierzom strażować przy drzwiach i oknach chaty, a sam rzekł do smolarza:

— Weź, chłopie, latarnię, i chodź ze mną.

— Chyba łuczywem wielmożnemu panu zaświecę, bo niemasz latarni.

— To świeć łuczywem; spalisz szopę i konie, wszystko mi jedno!

Na takie dictum [1], latarnia znalazła się za-

[1] powiedzenie.

raz w komorze. Soroka kazał chłopu iść naprzód, sam zaś szedł za nim z pistoletem w garści.

— Kto tu mieszka w tej chacie? — pytał po drodze.

— Panowie mieszkają.

— Jak ich zowią?

— Tego mi nie wolno powiedzieć.

— Widzi mi się, chłopie, że weźmiesz w łeb!

— Mój jegomość, — odpowiedział smolarz, — jeślibym zełgał jakie przezwisko, to też musiałbyś się jegomość kontentować.

— Prawda jest! A siła tych panów?

— Jest stary pan i dwóch paniczów i dwóch czeladzi.

— Jakże to, szlachta?

— Pewnie, że szlachta.

— I tu mieszkają?

—- Czasem tu, a czasem Bóg wie gdzie!

— A te konie skąd?

— Panowie naprowadzają, a skąd, Bóg wie!

— Rzeknij prawdę: nie rozbijaj;} twoi panowie na gościńcu?

— Czy ja, mój jegomość, wiem? Widzi mi się, że konie biorą, a komu, to nie moja głowa.

— A co z końmi robią?

— Czasem wezmą sztuk dziesięć, dwanaście, ile jest, i popędzą, -— a dokąd, to też nie wiem.

Tak rozmawiając, doszli do szopy, z której słychać było parskanie koni, i weszli do środka.

— Świeć! — rzekł Soroka.

Chłop podjął latarnię w górę i począł oświecać konie, stojące szeregiem przy ścianie. Soroka opatrywał jednego po drugim okiem znawcy i głową kręcił, językiem mlaskał i mruczał:

— Nieboszczyk pan Zend radby był... Są polskie, moskiewskie... a ten wałach[1] niemiec... i ona klacz także... Zacne konie. A co im da jecie?

— Żeby nie zełgać, mój jegomość, tom tu dwie polanki owsem obsiał jeszcze z wiosny.

— To twoi panowie od wiosny konie sprowadzają?

— Nie, ale mi czeladnika z rozkazem przysłali.

— Toś ty ich?

— Ja byłem ich, nim na wojnę poszli.

— Na jaką wojnę?

— Czy ja wiem, mój jegomość. Poszli daleko, jeszcze zeszłego roku, a wrócili latem.

— A czyj teraz jesteś?

— To królewskie lasy.

— Kto cię tu osadził na smolarni?

---

[1] koń.

— Borowy królewski, panów krewny, który z nimi też konie prowadzał, ale jak raz z nimi pojechał, tak i więcej nie wrócił.

— A goście jacy tu u panów nie bywali?

— Tu nikt nie trafi, bo bagna naokoło i tylko jedno przejście; dziwno mi to, mój jegomość, żeście trafili, bo kto nie trafi, tego i bagno wciągnie.

Soroka chciał zrazu odpowiedzieć, że i te lasy i to przejście zna dobrze, ale po chwili namysłu postanowił; lepiej zamilczeć, a natomiast spytał:

— A duże to bory?

Chłop nie zrozumiał pytania.

— Jakto?

— Daleko idą?

— Oj! kto je tam przeszedł: jedne się kończą, drugie zaczynają, a Bóg tam wie, gdzie ich niema. Ja tam nie był.

— Dobrze! — rzekł Soroka.

To rzekłszy, kazał chłopu wrócić i sam zawrócił do chaty.

Po drodze rozmyślał, co mu czynić przystoi, i wahał się. Z jednej strony przychodziła mu ochotą, korzystając z nieobecności mieszkańców chaty, brać konie jak swoje i z rabunkiem umykać. Łup był cenny i konie bardzo przypadły do serca staremu żołnierzowi, ale po chwili zwalczył pokusę. Wziąć łatwo, jeno co dalej czynić? Bagna naokoło, jedno wyjście — jak do niego trafić? Przypadek

raz posłużył, ale może nie posłużyć drugi raz. Iść śladem kopyt — na nic, boć pewnie mieszkańcy mieli tyle rozumu, że poczynili umyślnie śladowe drogi fałszywe i zdradne, wiodące wprost do topieli. Soroka znał dobrze proceder ludzi, którzy konie kradną lub łupem biorą.

Myślał więc i rozważał, nagle uderzył się pięścią w głowę.

— Kiep ze mnie!—mruknął; — toż wezmę chłopa na postronek i każę się wyprowadzić na gościniec.

Nagle wstrząsnął się, wymówiwszy ostatni wyraz.

— Na gościniec? A tam ten książę i pogoń...

— Piętnaście koni trzeba stracić! — rzekł sobie w duchu stary wyga, z takim żalem, jakby te konie od małego wyhodował. — Nie może być inaczej, tylko skończyło się nasze szczęście. Trzeba siedzieć w chacie, póki pan Kmicic nie wyzdrowieje, siedzieć z wolą mieszkańców, albo bez woli, a co potem będzie, to już pułkownika głowa.

Tak rozmyślając, wrócił do chaty. Czujni żołnierze stali przy drzwiach, i choć widzieli zdała latarkę migocącą w ciemności, tęż samą, z którą Soroka i smolarz wyszli, przecie kazali im się opowiedzieć, kto są, zanim puścili ich do chaty. Soroka dał ordynans, by strażujący zmienili się o północku, sam zaś rzucił się na tapczan obok Kmicica.

W chacie uczyniło się cicho, jeno świerszcze rozpoczęły zwykłą muzykę, w przyległej komórce myszy chrobotały w nagromadzonych tam rupieciach, od czasu do czasu zaś chory budził się i marzył widocznie gorączkowo, bo do uszu Soroki dolatywały bezładne jego słowa:

— Miłościwy królu, odpuść... Tamci zdrajcy... Wszystkie ich sekreta powiem... Rzeczpospolita sukno czerwone... Dobrze, mam cię, mości książę... Trzymaj!... Miłościwy królu!... Tędy, bo tam zdrada!

Soroka podnosił się na tapczanie i słuchał, lecz chory, zakrzyknąwszy raz i drugi, zasypiał, a potem znów budził się i wołał:

— Oleńka, Oleńka, nie gniewaj się!...

Dopiero koło północy uspokoił się zupełnie i zasnął na dobre. Soroka też począł drzemać, ale wnet zbudziło go ciche pukanie do drzwi chaty.

Czujny żołnierz otworzył oczy natychmiast, i zerwawszy się na równe nogi, wyszedł z chaty.

— A co tam? — spytał.

— Panie wachmistrzu, smolarz uciekł.

— Do stu djabłów! wnet on nam tu zbójów naprowadzi. A kto jego pilnował?

— Biłous.

— Poszedłem z nim konie nasze poić — rzekł, tłumacząc się, Biłous. — Kazałem mu wiadro ciągnąć, a sam szkapy trzymałem...

•— I co? w studnię skoczył?

— Nie, panie wachmistrzu, jeno między pnie, co ich wedle studni siła leży naciętych, i w karczowe doły. Puściłem konie, bo choćby się rozbiegły, to tu są drugie, i skoczyłem za nim, alem w pierwszym dole utknął. Noc, ciemno, jucha zna miejsce, tak i pomknął... Żeby go mór [1] trafił!

— Naprowadzi on nam tu djabłów, naprowadzi... Żeby go pioruny zatrzasły!...

Wachmistrz uciął, a po chwili rzekł:

— Nie będziemy się kładli, trzeba czuwać do rana; lada chwila kupa nadejść może.

I dając przykład innym, sam zasiadł na progu chaty z muszkietem w ręku, żołnierze zaś siedli koło niego, gwarząc między sobą zcicha, to podśpiewując półgłosem, to nasłuchując, czy wśród nocnych odgłosów boru nie dojdzie ich tętent i parskanie zbliżających się koni.

Noc była pogodna i księżycowa, ale hałaśliwa. W głębinach leśnych wrzało życie. Była to pora bekowiska [2], więc puszcza brzmiała naokół groźnemi rykami jeleni. Odgłosy owe, krótkie, chrapliwe, pełne gniewu i zaciekłości, rozlegały się naokoło, we wszystkich częściach lasu, w głębiach i bliżej, czasem tuż tuż, jakby o sto kroków za chatą.

---

[1] zaraza. [2] schodzenia się jeleni.

— Jeśli oni nadejdą, to też będą porykiwać, by nas zmylić — rzeki Biłous.

— E! tej nocy nie nadejdą. Nim chłop do nich zdąży, to i dzień będzie! — odrzekł inny żołnierz.

— Po dniu, panie wachmistrzu, zdałoby się chatę przetrząść i pod ścianami pokopać, bo jeśli zbóje tu mieszkają, to i skarby być muszą.

— Najlepsze skarby w onej stajni — odparł Soroka, wskazując ręką na szopę.

— A pobierzem?

— Głupiście! tu wyjścia niema, jeno bagna wkoło.

— A przecieśmy przyjechali.

— Bóg nas przeprowadził. Żywa dusza tu nie przyjdzie, ani nie wyjdzie, jeśli drogi nie zna.

— Po dniu znajdziem.

— Nie znajdziem, bo umyślnie nakluczono i ślady są mylne. Nie trzeba było chłopa puszczać.

• — Wiadomo, że gościniec o dzień drogi — rzekł Biłous — iw tamtej stronie...

Tu wskazał palcem na wschodnią część lasu:

— Będziem jechali, póki nie przejedziemy — ot co!

— To myślisz, żeś już pan, jak będziesz na trakcie? Lepsza ci tu kula rozbójnika, niż tam stryczek.

— Jakto, ojcze? — rzeki Biłous.

— Bo tam już pewno nas szukają.

— Kto, ojcze?

— Książę.

Tu Soroka umilkł nagle, a za nim umilkli i inni, jakby zdjęci przestrachem.

— Oj! — rzeki wreszcie Biłous. — Tu źle, i tam źle; kruty ne werty! [1]

— Nagnali nas jak siromachów w sieci; tu zbóje, a tam książę! — rzeki inny żołnierz.

— Niech ich tam piorun zapali! Wolę mieć sprawę ze zbójem, niż z charakternikiem, — odpowiedział Biłous, — bo że ten książę niesamowity, to niesamowity. Zawratyński to przecie z niedźwiedziem w pół się brał, a on mu szablę wydarł jako dziecku. Nie może inaczej być, tylko go zaczarował, bo i to jeszcze widziałem, że jak się potem na Witkowskiego rzucił, to w oczach urósł, jak sosna. Żeby nie to, nie byłby ja jego żywego puścił.

— I tak kiep z ciebie, żeś na niego nie skoczył.

— Co miałem robić, panie wachmistrzu? Myślałem tak: siedzi na najlepszym koniu, więc jak zechce, to ucieknie, — a natrze, to się nie obronię, boć z charaktemikiem nie ludzka moc. W oczach ci zginie, albo kurzawą się zakręci...

---

[1] kręć jak chcesz, a nic nie wyjdzie!

— Prawda jest, — rzekł Soroka, — że gdym do niego strzelał, to go jakoby mgłą zasuło... i chybiłem... Z konia każdemu się chybić trafi, gdy się szkapa kręci, ale z ziemi, to mi się od dziesięciu lat nie zdarzyło.

— Co tu gadać! — rzekł Biłous — lepiej policzyć: Lubieniec, Witkowski, Zawratyński, nasz pułkownik — i wszystkich jeden mąż obalił, i to broni nie mający, takich ludzi, z których każdy z czterema nieraz rady sobie dawał. Bez djabelskiej pomocy nie mógłby on tego dokazać.

— Polećmy dusze Bogu, bo jeśli on niesamowity, to mu djabeł i tu drogę pokaże.

— A i bez tego długie on ma ręce, jako pan taki...

— Ciclio-no! — rzekł nagle Soroka — coś tu po liściach szeleszczę.

Żołnierze umilkli i nadstawili uszu. W pobliżu istotnie dały się słyszeć jakieś ciężkie kroki, pod któremi opadłe liście szeleściały bardzo wyraźnie.

— Konie słychać — szepnął Soroka.

Lecz kroki poczęły oddalać się od chaty, a wkrótce potem rozległo się groźne i chrapliwe beczenie jelenia.

— To jelenie! Byk się łaniom oznajmia, albo drugiego rogala straszy.

— W całym lesie gody, jakoby się djabeł żenił.

Umilkli znowu i poczęli drzemać, jeno wachmistrz podnosił czasem głowę i nasłuchiwał przez chwilę, poczem głowa opadała mu zaraz na piersi. Tak zeszła godzina, i druga, aż nakoniec sosny najbliższe z czarnych uczyniły się szare, a wierzchołki bielały coraz bardziej, jakoby je kto roztopionem srebrem namaścił. Ryki jelenie umilkły i cisza zupełna zapanowała w głębiach leśnych. Zwolna brzask począł przechodzić w świtanie, białe i blade światło jęło wsiąkać w siebie różowe i złote blaski, nakoniec nastał dzień zupełny i oświecił znużone twarze żołnierzy, śpiących twardym snem pod chatą.

Wtem drzwi się otwarły, Kmicic ukazał się w progu i zawołał:

— Soroka! bywaj!

Żołnierze zerwali się na równe nogi.

— Dla Boga, to wasza miłość na nogach? — rzekł Soroka.

— A wy pospaliście się jak woły; możnaby wam łby poucinać i za płot powyrzucać, nimby się który rozbudził.

— Czuwaliśmy do rana, panie pułkowniku, zasnęliśmy dopiero o dniu białym.

Kmicic rozejrzał się dokoła.

— Gdzie jesteśmy?

— W lesie, panie pułkowniku.

— To i ja widzę. Ale co to za chałupa?

— Tego my sami nie wiemy.

— Chodź za mną! — rzekł pan Andrzej.

I cofnął się do wnętrza chaty. Soroka podążył za nim.

—— Słuchaj, — rzekł Kmicic, siadłszy na tapczanie, — wszakże to książę do mnie strzelił?

— Tak jest.

— A co się z nim stało?

— Uszedł.

Nastała chwila milczenia.

— To źle! — rzekł Kmicic, — bardzo źle! Lepiej było go położyć, niż żywego puszczać.

— My tak i chcieli, ale...

—- Ale co?

Soroka opowiedział pokrótce, co się stało. Kmicic słuchał nad podziw spokojnie, jeno oczy poczęły mu gorzeć, a wkońcu rzekł:

— Tedy on górą, ale się jeszcze spotkamy. Czemuś zjechał z gościńca?

— Bałem się pogoni.

— To i słusznie, bo pewno była. Za mało nas teraz na Bogusławową potęgę... djablo za mało!... Przytem on do Prus ruszył, tam nie możemy go ścigać, trzeba czekać...

Soroka odetchnął. Pan Kmicic widocznie nie obawiał się znów tak bardzo księcia Bogusława, skoro o pościgu mówił. Ta ufność udzieliła się odrazu staremu żołnierzowi, przywykłemu myśleć głową swego pułkownika i czuć jego sercem.

Tymczasem pan Andrzej zamyślił się głę-

boko, — nagle ocknął się i jął szukać czegoś koło siebie rękoma.

— A gdzie to moje listy? — spytał.

— Jakie listy?

— Którem miał przy sobie... W pasie były zatknięte; gdizie pas? — pytał gorączkowo pan Andrzej.

— Pas ja sam odpiąłem z waszej miłości, żeby waszej miłości lepiej było dychać; ot, tam leży.

— Dawaj!

Soroka podał skórzany pas, podszyty irchą i, w której były ściągane na sznurki kieszenie. Kmicic rozciągnął je i wydobył pośpiesznie papiery.

— To glejty do komendantów szwedzkich; a gdzie listy? — rzeki pełnym niepokoju głosem.

— Jakie listy? — powtórzył Soroka.

— Do kroćset piorunów! listy hetmana do króla szwedzkiego, do pana Lubomirskiego, i te wszystkie, które miałem...

— Jeżeli w pasie ich niema, to nigdzie niema. Musiały zginąć w czasie jazdy.

— Na koń, i szukać! — krzyknął strasznym głosem Kmicic.

Lecz zanim zdumiony Soroka zdołał opuścić izbę, pan Andrzej zatoczył się na tapczan, jakby mu sił zbrakło, i porwawszy się

---

[1] skórą baranią miękko wyprawioną.

rękoma za głowę, począł powtarzać jęczącym głosem:

— Aj!... moje listy, moje listy!...

Tymczasem żołnierze odjechali, prócz jednego, któremu Soroka rozkazał strażować przy chałupie. Kmicic pozostał sam w izbie i począł rozmyślać nad własnem położeniem, które nie było godne zazdrości. Bogusław uszedł. Nad panem Andrzejem zawisła straszliwa i nieunikniona zemsta potężnych Radziwiłłów. I nietylko nad nim, ale nad wszystkimi, których kochał, a krótko mówiąc, nad Oleńką. Wiedział to Kmicic, że książę Janusz nie zawaha się uderzyć go tam, gdzie będzie go mógł zranić najboleśniej, to jest wywrzeć zemstę na osobie Billewiczówny. A wszakże Oleńka była w Kiejdanach, na łasce i niełasce straszliwego magnata, którego serce nie znało miłosierdzia. Im więcej Kmicic rozmyślał nad swem położeniem, tein jaśniej dochodził do przekonania, że było ono poprostu straszne. Po porwaniu Bogusława, Radziwiłłowie będą go mieli za zdrajcę; stronnicy Jana Kazimierza, ludzie sapieżyńscy i konfederaci zbuntowani na Podlasiu mają go także za zdrajcę, za potępioną duszę radziwiłłowską. Wśród licznych obozów, stronnictw i obcych wojsk zalegających w tej chwili pola Rzeczypospolitej, nie było ani jednego obozu, ani jednej partji, ani jednego wojska, któreby go nie poczytywało za największego

i najzaciętszego wroga. Wszakże istnieje nagroda wyznaczona przez Chowańskiego za jego głowę, a teraz wyznaćzą ją Radziwiłłowie, Szwedzi — a kto wie, czy już nie wyznaczyli i stronnicy nieszczęsnego Jana Kazimierza. „0! tom piwa nawarzył, a teraz pić muszę!“ — myślał Kmicic. Porywając księcia Bogusława, porwał go dlatego, by rzucić go pod nogi konfederatów, przekonać ich niezbicie, że z Radziwiłłami zrywa, i wkupić się między nich, zdobyć sobie prawo walczenia za króla i ojczyznę. Z drugiej strony, Bogusław w jego ręku był zakładnikiem bezpieczeństwa Oleńki. Lecz teraz, gdy Bogusław pogromił Kmicica i uszedł, nietylko znikło bezpieczeństwo Oleńki, ale i dowód, że pan Kmicic szczerze porzucił radziwiłłowską służbę. Wszakże otwarta mu droga do konfederatów i, jeśli trafi na oddział Wołodyjowskiego i jego przyjaciół pułkowników, może darują mu życie, ale czy za towarzysza przyjmą, czy mu uwierzą, czy nie pomyślą, że przybył na przeszpiegi, albo dlatego, by ducha psuć i ludzi do Radziwiłłów przeciągać? Tu wspomniał, że ciąży na nim krew konfederacka, wspomniał, że on to pierwszy zbił zbuntowanych Węgrów i dragonów w Kiejdanach, że rozpraszał zbuntowane chorągwie lub zmuszał je do poddania, że rozstrzeliwał opornych oficerów i wycinał żołnierzy, że szańczykami otoczył i umocnił Kiejdany,

a przez to Radziwiłłowi triumf na Żmudzi zapewnił.... „Jakże mi tam iść? — pomyślał sobie — tożby im zaraza milszym była gościem, niż moja osoba... Z Bogusławem na arkanie przy siodle — możnaiby, ale z gębą tylko i gołemi rękoma!...“

Gdyby miał choć owe listy, to choćby się niemi do konfederatów nie wkupił, miałby przynajmniej przez nie księcia Janusza w ręku, boć owe listy mogły podkopać kredyt hetmana nawet u Szwedów... Więc za ich cenę możnaby było Oleńkę uratować...

Lecz zły duch jakiś sprawił, że i listy zginęły.

Kmicic, gdy wszystko myślą ogarnął, porwał się raz drugi za głowę.

— Zdrajcam dla Radziwiłłów, zdrajca dla Oleńki, zdrajca dla konfederatów, zdrajca dla króla!... Zgubiłem sławę, cześć, siebie, Oleńkę!...

Rana w twarzy paliła ,go jeszcze, ale w duszy piekł go żar stokroć boleśniejszy. Bo na dobitkę wszystkiego, cierpiała w nim i miłość własna rycerska. Był przecie przez Bogusława sromotnie pobity. Niczem były owe cięgi, które mu w Lubiczu sprawił pan Wołodyjowski. Tam pokonał go mąż zbrojny, którego na parol wyzwał, tu jeniec bezbronny, którego miał w ręku.

Z każdą chwilą rosło w Kmicicu poznanie, w jak straszne i haniebne popiadł terminy. Im dłużej w nie patrzył, tern jaśniej ich

okropność widział i coraz nowe czarne kąty spostrzegał, z których wyglądały: hańba, sromota, zguba dla niego samego, dla Oleńki, krzywdy dla ojczyzny — aż wkońcu ogarnął go przestrach i zdumienie.

— Zali ja to wszystko uczyniłem? — pytał sam siebie.

I włosy powstały mu na głowie.

— Nie może być! Chyba mnie jeszcze febra trzęsie! — zakrzyknął. — Matko Boża, nie może być!...

— Ślepy! głupi warchole! — rzekło mu sumienie — nie byłoż ci to przy królu i ojczyźnie stanąć, nie byłoż ci posłuchać Oleńki!

I porwał go żal, jak wicher. Hej! żeby tak sobie mógł powiedzieć: Szwedzi przeciw ojczyźnie, ja na nich! Radziwiłł przeciw królowi — ja na niego! Dopieroż byłoby mu w duszy jasno i przejrzysto! Dopierożby kupę zebrał zabijaków z pod ciemnej gwiazdy i hasał z nimi, jak cygan na jarmarku, i podchodził Szwedów i po brzuchach im przejeżdżał, z czystem sercem, z czystem sumieniem, — dopierożby w sławie, jako w słońcu, stanął kiedyś przed Oleńką i rzekł:

— Już ja nie banit, ale defensor patriae, miłujże mnie, jako ja ciebie miłuję!

A dziś co?

Lecz harda dusza, przywykła sobie folgować, nie chciała zrazu całkiem przyznać się do winy: Radziwiłłowie to tak go pogrążyli,

Radziwiłłowie do zguby przywiedli, okryli niesławą, ¿wiązali ręce, zbawili czci i kochania.

Tu zgrzytnął pan Kmicic zębami, wyciągnął ręce ku Żmudzi, na której Janusz, hetman, siedział jak wilk na trupie, — i począł wołać przyduszonym wściekłością głosem:

— Pomsty! pomsty!

Nagle rzucił się w desperacji na kolana w pośrodku izby i począł mówić:

— Ślubuję Ci, Chryste Panie, tych zdrajców gnębić, zajeżdżać!... prawem, ogniem i mieczem ścigać, póki mi pary w gębie, tchu w gardzieli i żywota na świecie! Tak mi Królu Nazareński dopomóż! Ariien!

Aż mu jakiś głos wewnętrzny rzekł w tej chwili:

— Ojczyźnie służ, zemsta n>a potem!!...

Oczy pana Andrzeja płonęły gorączką, wargi miał spiekłe i drżał cały jak we febrze; rękoma wymachiwał i, gadając ze sobą głośno, chodził a raczej biegał po izbie, potrącał nogami tapczany, aż wreszcie rzucił się jeszcze raz na kolana.

— Natchnijże mnie, Chryste, co mam czynić, abym zaś nie oszalał!

Wtem doszedł go huk wystrzału, który echo leśne odrzucało od sosny do sosny, aż przyniosło, jakoby grzmot, do chaty.

Kmicic zerwał się, i chwyciwszy szablę, wypadł przed sień.

— Co tam? — spytał żołnierza stojącego u proga.

— Wystrzał, panie pułkowniku!

— Gdzie Soroka?

— Pojechał listów szukać.

— W której stronie strzelono?

Żołnierz ukazał wschodnią część lasu, zarośniętą gęstemi chaszczami.

-—■ Tam!

W tej chwili dał się słyszeć tętent niewidzialnych jeszcze koni.

— Pilnuj! — krzyknął Kmicic.

Lecz z zarośli ukazał się Soroka, pędzący co koń wyskoczy, a za nim drugi żołnierz.

Obaj dobiegli do chaty, i zeskoczywszy z koni, wymierzyli z poza nich, jakby z poza szańców, muszkiety ku zaroślom.

— Co tam? — spytał Kmicic.

— Kupa idzie! — odparł Soroka.

ROZDZIAŁ III.

Nastała cisza, ale wkrótce w przyległych chaszczach zaczęło coś łopotać, jakoby dziki szły, jednakże łopot ów, im był bliższy, tern stawał się wolniejszy. Potem znów nastała cisza.

— Ilu ich tam jest? — spytał Kmicic.

— Będzie ze sześciu, a może i ośmiu, bom ich też nie mógł dobrze zliczyć — odparł Soroka.

— To dobra nasza! Nie zdzierżą nam!

— Nie zdzierżą, panie pułkowniku, ale trzeba nam żywcem którego wziąć i przypiec, by drogę pokazał.

— Będzie na to czas. Pilnuj!

Zaledwie Kmicic wymówił: „Pilnuj!“ — gdy smuga białego dymu wykwitła z zarośli i, rzekłbyś: ptactwo zaszumiało po pobliskiej trawie, o jakie trzydzieści kroków od chaty.

— Hufnalami z garłacza strzelono! — rzekł Kmicic; — jeśli muszkietów nie mają, to nic nam nie uczynią, bo z garłaczy od zarośli nie doniesie.

Soroka, trzymając jedną dłonią muszkiet oparty o kulbakę stojącego przed nim konia, drugą dłoń zwinął w kształcie trąbki koło ust i począł krzyczeć:

— A pokaż-no się który z chaszczów, wnet się nogami nakryjesz!

Nastała chwila ciszy, poczem w zaroślach rozległ się groźny głos:

— Coście za jedni?

— Lepsi od tych, co po traktach grasują.

— Jakiem prawem naszliście naszą siedzibę?

— Zbój o prawo pyta! Nauczy was kat prawa, idźcie do kata!

—■ Wykurzymy was stąd, jak jaźwców!

— A chodź! Patrz jeno, byś się tym dymem sam nie zadławił!

Głos w zaroślach zamilkł, widocznie napastnicy poczęli się naradzać, tymczasem Soroka szepnął do Kmicica:

— Trzeba tu będzie którego zwabić i związać; będziem mieć i zakładnika i przewodnika.

— Ba! — rzekł Kmicic — jeżeli który przyjdzie, to na parol.

— Ze zbójami godzi się i na parol nie zważać.

— Lepiej nie dać! — rzekł Kmicic.

Wtem pytania nowe zabrzmiały od strony zarośli:

— Czego tu clicecie?

Tu sam Kmicic zabrał głos:

— Jakeśmy przyjechali, takbyśmy i pojechali, gdybyś politykę, kpie, znał i od garłacza nie zaczynał.

— Nie osiedzisz się tu, wieczorem przyjdzie nas sto koni!

— Przed wieczorem przyjdzie dwieście dragonów, a bagna cię nie obronią, bo są tain tacy, którzy przejadą, jako i myśmy przejechali.

— Toście wy żołnierze?

— Jużci nie zbóje.

— Z pod jakiej chorągwi?

— A cóżeś to, hetman? Nie tobie się będziem sprawiali.

— Po staremu, wilcy tu was ogryzą.

— A was kruki zdziobią.

— Gadajcie, czego clicecie, do stu djabłów! Pocoście do naszej chaty wleźli?

— A cliodź-no sam! Nie będziesz z chaszczów gardła darł. Bliżej! bliżej!

— Na parol?

— Parol dla rycerstwa, nie dla zbójów. Chcesz — wierz, nie cbcesz — nie wierz!

— We dwóch można-li?

— Można!

Po chwili z zarośli, odległych na sto kroków, wynurzyło się dwóch ludzi wysokich i pleczystych. Jeden, nieco pochylony, rnusiał być człekiem wiekowym, drugi szedł prosto, jeno szyję wyciągał ciekawie ku chacie; obaj mieli na sobie półkożuszki oszyte szarem suknem, jakie nosiła pomniejsza szlachta, wysokie jałowicze buty, i kapuzy futrzane, naciśnięte na oczy.

— Kiej djabeł! — mruknął Kmicic, przypatrując się pilnie dwom mężom.

— Panie pułkowniku, — zawołał Soroka,— cud chyba, ale to nasi ludzie!

Tamci tymczasem zbliżyli się ó kilka kroków, ale nie mogli rozpoznać stojących przy chacie, bo ich zakrywały konie.

Nagle Kmicic wysunął się naprzód.

Wszelako nadchodzący nie poznali go, bo twarz miał obwiązaną, wstrzymali się jednak i poczęli mierzyć go ciekawie i niespokojnie oczyma.

— A gdzie drugi syn, panie Kiemlicz? — spytał pan Andrzej, — czy aby nie poległ?

— Kto to? jakto? co? kto mówi? co? — rzekł stary dziwnym, jakby przestraszonym głosem.

I stanął nierucliomie, otworzywszy szeroko usta i oczy; wtem syn, który, jako młodszy, miał wzrok bystrzejszy, zerwał nagle czapkę z głowy.

— O dla Boga! Jezu!... Ociec! to pan pułkownik! — zakrzyknął.

— Jezu! o słodki Jezu! — zawtórował stary — to pan Kmicic!!

I obaj stanęli w nieruchomej postawie, w jakiej podkomendni witają swych naczelników, a na twarzach ich malowały się równocześnie przestrach i zdumienie.

— Ha! tacy synowie! — rzekł, uśmiechając się, pan Andrzej, — to z garłacza mnie witacie?

Tu stary zerwał się i począł krzyczeć:

— A bywajcie tu wszyscy! Bywajcie!

Z zarośli ukazało się jeszcze kilku ludzi, między którymi drugi syn starego i smolarz; wszyscy biegli na złamanie karku z gotowemi broniami, nie wiedzieli bowiem, co zaszło, lecz stary znów zakrzyknął:

— Do kolan, szelmy! do kolan! to pan Kmicic! Który tam kiep strzelił? Dawaj go sam!

— Sameś ociec strzelił — rzekł młody Kiemlicz.

— Łźesz! Łżesz jak pies! Panie pułkowniku, kto mógł wiedzieć, że to wasza miłość w naszej sadybie! Dla Boga, oczom jeszcze nie wierzę!

— Jam jest, we własnej osobie! — rzekł Kmicic, wyciągając doń rękę.

— 0 Jezu! — odpowiedział stary, — taki gość w boru! Oczom nie wierzę! Gzem my tu waszą miłość przyjiniemy? Żeby my się spodziewali, żeby my wiedzieli!

Tu zwrócił się do synów:

— Rusz-że się tam który bałwanie do lochu i, miodu wynieść!

— Daj ociec klucz od kłódki! — rzekł jeden z synów.

Stary począł szukać w pasie, a jednocześnie spoglądał podejrzliwie na syna.

— Klucz od kłódki? Ale! Znają cię, cyganie; więcej sam wypijesz, niż tu przyniesiesz. Co? sam pójdę; klucza od kłódki mu się chce! Idźcie jeno pnie odwalić, a otworzę i wyniosę ja sam!

— To widzę loszek pod pniami masz ukryty, panie Kiemlicz? — rzekł Kmicic.

— Albo to można co utrzymać z takimi zbójami! — odpowiedział stary, wskazując na synów. — Ojcaby zjedli. Jeszczeście tu?!

---

[1] tu: piwnicy.

Idźcie pnie odwalić. Tak to słuchacie tego, który was spłodził?

Młodzi kopnęli się żywo za chatę, ku kupom naciętych pili.

— Po staremu, jak widzę, z synami w niezgodzie? — pytał Kmicic.

— Ktoby z nimi był w zgodzie... Bić to umieją, zdobycz brać umieją, ale jak przyjdzie z ojcem się dzielić, to z gardła im muszę moją część wydzierać... Taka mi pociecha! A chłopy jak tury! Proszę waszą miłość do chaty, bo tu chłód kąsa. Dla Boga! taki gość, taki gość! Toż my pod komendą waszej miłości więcej zdobyczy wzięli, niż przez ten cały rok... Chudzizna teraz! bieda! złe czasy i coraz gorsze, a i starość nie radość!... Proszę do chaty, w niskie progi. Dla Boga! ktoby się tu waszej miłości spodziewał!...

Stary Kiemlicz mówił dziwnie prędkim i narzekającym głosem, a mówiąc, rzucał szybkie i niespokojne spojrzenia na wszystkie strony. Był to starzec kościsty i ogromny, z twarzą wiecznie skrzywioną i tetryczną [1]. Oczy miał kosę, również jak i jego dwaj synowie, brwi krzaczaste i takież wąsy, pod któremi sterczała wysunięta niezmiernie naprzód dolna warga, która, gdy mówił, zachodziła mu aż pod nos, jak u ludzi nie mających zębów. Zgrzybiałość jego twarzy dziwne czyniła

[1] zgryźliwą.

przeciwieństwo z czerstwością jego postaci, zdradzającej niezwykłą siłę i żwawość. Ruchy miał szybkie, jakby go sprężyna poruszała; głowę ciągle obracał, starając się objąć oczyma wszystko, co go otaczało, zarówno ludzi i rzeczy. Dla Kmicica z każdą chwilą stawał się uniżeńszy, w miarę jak odzywała się w nim służbistość dla dawnego wodza, bojaźń, a może admiracja 1, albo i przywiązanie.

Kmicic znał Kiemliczów dobrze, albowiem ojciec i dwaj synowie służyli pod nim za owych czasów, gdy na Białej Rusi prowadził na własną rękę wojnę z Chowańskim. Byli to żołnierze mężni, — i równie okrutni, jak mężni. Syn, Kostna, nosił czas jakiś chorągiew w Kmicicowej kupie, ale wkrótce zrzekł się tej zaszczytnej szarży, bo mu przeszkadzał;! łup brać. Między kosterami i liulajduszami, z jakich składała się Kmicicowa partja, którzy we dnie przepijali i tracili to, co nocą zdobyli krwawo na nieprzyjacielu, Kiemliczowie odznaczali się wielką chciwością. Gromadzili skrzętnie łup i kryli się po lasach. Brali szczególnie łapczywie konie, które sprzedawali później po dworach i miasteczkach. Ojciec bił się nie gorzej od synów bliźniaków, ale po każdej bitwie wydzierał im najznamienitszą część łupu, rozwodząc przytem skargi i żale, że go krzywdzą, grożąc prze-

[1] podziw.

kleństwem ojcowskiem, jęcząc i narzekając. Synowie warczeli na niego, ale dość głupowaci z natury, pozwolili się tyranizować. Mimo ustawicznych kłótni i swarów, w bitwie stawał jeden za drugiego zaciekle, nie szczędząc krwi. Towarzysze nie lubili ich, ale obawiano się ich powszechnie, w zajściach bowiem bywali straszni. Nawet oficerowie unikali z nimi zaczepki. Jeden tylko Kmicic wzbudzał w nich strach nieopisany, a po Kmicicu, pan Ranicki, któremu gdy twarz w gniewie pocętkowała się plamami, wówczas drżeli przed nim. Czcili też w obydwóch ród wysoki, bo Kmicicowie z dawnych czasów górowali w Orszańskiem, a w Ranickim płynęła krew senatorska.

W partji mówiono, że zebrali wielkie skarby, ale nikt dobrze nie wiedział, czy było w tern coś prawdy. Pewnego dnia wysłał ich Kmicic z kilku czeladzi i tabunem zdobycznym koni — od tej pory znikli. Kmicic rozumiał, że polegli, żołnierze mówili, że uszli z końmi, gdyż to była za wielka dla ich serc pokusa. Teraz, gdy ich pan Andrzej ujrzał zdrowych, gdy w szopie podle chaty rżały jakieś konie, a radość i uniżoność starego mieszała się z niespokojnością, pomyślał pan Andrzej, że żołnierze mieli słuszność.

To też gdy weszli do chaty, siadł na tapczanie, i wziąwszy się w boki, począł patrzeć prosto w oczy staremu, następnie spytał:

— Kiemlicz! a gdzie to moje konie?

— 0 Jezu! słodki Jezu! — jęknął stary — Zołtareńkowi ludzie zabrali, pobili nas, poranili, rozproszyli, gnali szesnaście mil, ledwieśmy z życiem uszli. O Matko Najświętsza! Jużeśmy ni waszej miłości, ni partji nie mogli znaleźć. Przygnali nas aż tu, w te bory, na mizerję i gjłód, do tej chałupy, do tych bagien... Bóg łaskaw, że wasza miłość żywię i zdrowy, choć widzę ranny. Możehy opatrzyć, ziół odciągających przyłożyć... A ci moi synalowie poszli pnie odwalać i zginęli. Co te szelmy tam robią? Gotowi drzwi wysadzić i do miodu się dobrać. Głód tu i mizerja — więcej nic! Grzybami żyjemy, ale dla waszej miłości znajdzie się co wypić i przekąsić... Tamte konie porwali nam, zagrabili... Niema o czem mówić! I nas służby u waszej miłości zbawili; kawałka clileba na starość niema, chyba nas wasza cześć przytuli i napowrót do służby przyjmie.

— Może się to i zdarzyć — odrzekł Kmicic.

W tej chwili weszli dwaj synowie starego: Kosma i Damjan, bliźniacy, chłopy duże, niezgrabne, z ogromnemi głowami, porosłemi całkiem niezmiernie gęstym i twardym jak szczecina włosem, nierównym, sterczącym koło uszu, tworzącym wichry i fantastyczne czuby na czaszkach. Wszedłszy, stanęli koło drzwi, bo w obecności Kmicica usiąść nic śmieli, i Damjan rzeki;

— Locli odwalony.

— Dobrze, — rzeki stary Kiemlicz, — pójdę przynieść miodu.

Tu spojrzał na synów znacząco.

— A tamte konie Zołtareńkowi ludzie zabrali — rzeki z przyciskiem.

I wyszedł z izby.

Kmicic patrzył na dwóch budrysów 1, stojących pode drzwiami, jakoby toporem zgruba z pni wyciosanych, nagle spytał:

— Co wy teraz robicie?

— Konie bierzem! — odrzekli jednocześnie bliźniacy.

— Komu?

— Komu popadnie.

— A najwięcej?

— Zołtareńkowym.

— To dobrze, nieprzyjaciołom wolno brać, ale jeżeli i swoim bierzecie, toście buhaje, nie szlachta. Co z temi końmi czynicie?

—- Ociec w Prusach sprzedają.

—- A Szwedom zdarzało się wam odbierać? Bo to tu gdzieś niedaleko szwedzkie komendy? Podchodziliście Szwedów?

— Podcliodzilim.

— Toście na pojedynczych napadali, albo na małe kupki! A gdy się bronili, cóż wy wówczas?

— Pralim.

---

[1] tu: junaków.

— Alia! praliście! Tedy macie swój rachunek u Zołtareńkowych i u Szwedów, i pewnieby wam na sucho nie uszło, gdybyście im w ręce wpadli?

Kosma i Damjan milczeli.

— Niebezpieczny prowadzicie proceder i godniejszy hultajów, niż szlachty... Nie bez tego też musi być, żeby na was jakie wyroki z dawnych czasów nie ciążyły?

— Jakże nie! — odrzekli Kosma i Damjan.

— Tak i myślałem. Z których wy stron?

— My tutejsi.

— Gdzie ojciec przedtem mieszkał?

— W Borowiczku.

— Jego była wioska?

— W kollokacji [1] z Kopystyńskim.

— A co się z nim stało?

— Usieklim.

— I musieliście uchodzić przed prawem. Kuso z wami, Kiemlicze, i na gałęziach pokończycie! Kat wam poświeci, nie może inaczej być!

Wtem drzwi do izby skrzypnęły i wszedł stary, niosąc gąsior miodu i dwie szklanki. Wszedłszy, spojrzał niespokojnie na synów i na pana Kmicica, a potem rzekł:

— Idźcie loch zawalić.

Bliźniacy wyszli natychmiast, ojciec zaś nalał miód w jedną szklankę, drugą zaś zo-

---

[1] tu: w spółce.

stawił próżną, czekając, czy ma Kmicic pić ze sobą pozwoli.

Lecz Kmicic sam pić nie mógł, bo i mówił nawet z trudnością — tak mu rana dolegała. Widząc to stary, rzekł:

— Nie idzie miód na ranę, chyb aby samą zalać, żeby się prędzej wypaliła. Wasza miłość pozwoli obejrzeć i opatrzyć, bo to ja się nie gorzej cyrulika znam na tem?

Kmicic zgodził się, więc Kiemlicz zdjął obwiązki i począł patrzeć pilnie.

— Skóra starta, nic to! Kula po wierzchu przeszła, ale przecie napuchło.

— To też jeno dlatego dolega.

— Ale to i dwóch dni niema. Matko Najświętsza! Musiał ktoś okrutnie blisko do waszej miłości strzelić.

— A po czem miarkujesz?

— Bo się i wszystek proch nie zdążył spalić, i ziarnka, jako czarnuszka i, pod skórą siedzą. To waszej miłości już zostanie. Teraz jeno cbleba z pajęczyną przyłożyć. Okrutnie blisko ktoś strzelił, dobrze, że waszej miłości nie zabił!

— Nie było mi jeszcze pisane. Zagnieć-że chleba z pajęczyną, panie Kiemlicz, i przyłóż co prędzej, bo mam z tobą pogadać, a szczęki bolą.

Stary spojrzał podejrzliwie na pułkownika,

---

[1] ziarenka rośliny, tej nazwy, używane jako przyprawa do pieczywa.

bo w sercu powstała mu obawa, aby ta rozmowa nie tyczyła się znów koni, wrzekoino przez Kozaków pobranych, jednakże zaraz zakrzątnął się; zagniótł naprzód zwilżonego chleba, a gdy o pajęczynę nie było w chacie trudno, wnet opatrzył Kmicica.

— Dobrze mi teraz, — rzekł pan Andrzej, — siadaj mości Kiemlicz.

— Według rozkazu pana pułkownika — odparł stary, siadając na brzeżku ławki i wyciągając niespokojnie swą siwą, szczeciniastą głowę ku Kmicicowi.

Lecz Kmicic, zamiast pytać lub rozmawiać, wziął głowę w ręce i zamyślił się głęboko. Poczem wstał i począł chodzić po izbie; chwilami zatrzymywał się przed Kiemliczem i patrzył na niego roztargnionym wzrokiem; widocznie coś rozważał, łamał się z myślami. Tymczasem upłynęło z pół godziny; stary kręcił się coraz niespokojniej.

Nagle Kmicic zatrzymał się przed nim.

— Mości Kiemlicz, — rzekł, — gdzie tu najbliżej stoją te chorągwie, które się przeciw księciu wojewodzie wileńskiemu zbuntowały?

Stary począł mrugać podejrzliwie oczyma.

— Czy wasza miłość chce do nich jechać?

— Jać nie proszę, byś pytał, jeno byś odpowiadał.

— Mówią, że w Szczuczynie jedna chorągiew stanie na kwaterach, — ta, która ostatnia tędy ze Żmudzi przechodziła.

— Kto mówił?

— Sami ludzie z pod chorągwi.

— Kto ją prowadził?

— Pan Wołodyjowski.

— To dobrze. Wołaj mi Soroki!

Stary wyszedł i po chwili wrócił z wachmistrzem.

— A listy znalazły się? — pytał Kmicic.

— Niema, panie pułkowniku — odpowiedział Soroka.

Kmicic strzepnął palcami.

— Ej bieda! bieda! Możesz odejść, Soroka. Za te listy, żeście pogubili, warciście wisieć. Możesz odejść. Mości Kiemlicz, masz tu na czem pisać?

— Bodaj, że się znajdzie — odparł stary.

— Choćby ze dwie karty i piór.

Stary zniknął we drzwiach komory, która widocznie była składem wszelkiego rodzaju rzeczy, ale szukał długo. Kmicic tymczasem chodził po izbie i rozmawiał s,am ze sobą.

— Czy listy są, czy ich niema — (mówił) — hetman nie wie, że zginęły, i będzie się bał, żebym ich nie opublikował. Mam go w ręku... Chytrość na chytrość! Zagrożę mu, że wojewodzie witebskiemu poślę. Tak jest! W Bogu nadzieja, że się tego zlęknie.

Dalsze rozmyślania przerwał mu stary Kiemlicz, który wyszedłszy z komory, rzekł:

— Kart jest trzy, ale niema piór i inkaustu.

— Niema piór? A ptactwa tu jakowego niema w lesie? Choćby z rusznicy ustrzelić.

—■ Jest jastrząb przybity nad szopą.

— Dawaj skrzydło, ruszaj!

Kiemlicz pomknął co prędzej, bo w głosie Kmicica była niecierpliwość i jakoby gorączka. Po chwili wrócił ze skrzydłem jastrzębiem. Kmicic chwycił je, wyrwał lotkę [1] i począł ją temperować[2] własnym puginałem [3].

— Ujdzie! — rzekł, patrząc pod światło, — ale łatwiej łby ludziom zacinać, niż pióra! A teraz trzeba inkaustu.

To rzekłszy, odwinął rękaw, zakłuł się silnie w rękę i umoczył pióro we krwi.

— Ruszaj sobie, mości Kiemlicz, — rzekł, — i ostaw mnie.

Stary wyszedł z izby, a pan Andrzej zaraz rozpoczął pisać:

„Wypowiadam służbę W. X. Mości, bo zdrajcom i zaprzańcom nie clicę dłużej służyć. A żem przysiągł na krucyfiksie, że W. X. Mości nie opuszczę, to mnie Bóg z tego rozgrzeszy — choćby zasię i potępił, wolę gorzeć za błąd mój, niżeli za jawni} i rozmyślną zdradę ojczyzny i Pana mego. W. X. Mość wywiodłeś mnie w pole, żem był jako ślepy miecz w twoich ręku, do rozlewania krwi bratniej skory. Tedy na Boski sąd

---

[1] najdłuższe pióro w skrzydle. [2] zacinać. [3] długim nożem obosiecznym.

W. X. Mość wzywam, aby nas rozsądzono, po czyjej stronie była zdrada, a po czyjej czysta intencja. Jeżeli się zaś spotkamy, wonczas, choć wy jesteście potężni i nietylko prywatnego człeka, ale i całą Rzeczpospolitą na śmierć ukąsić możecie, a u mnie jeno szabla w garści, przecie się o swoje upomnę i ścigać
W. X. Mość będę, do czego mój żal i moje zgryzoty siły mi dodadzą. A to już Wasza
X. Mość wiesz, jeżelim nie z takich, co i bez chorągwi nadwornych, bez zamków i armaty zaszkodzić mogą. Póki mi tchu, póty zemsty nad wami, że ni dnia ni godziny pewni być nie możecie. Tak to pewno ma być, jako to jest moja własna krew, którą piszę. Listy W. X. Mości mam, które W. X. Mość nietylko u króla polskiego, ale i u Szwedów pogrążyć mogą, bo w nich zdrada Rzeczypospolitej jawna, jako i to, że Szwedów też gotowiście odstąpić, byle im się noga powinęła. Clioćbyście dwakroć byli potężniejsi — zguba wasza w moich ręku, bo podpisom i pieczęciom każden uwierzyć musi. Tedy W. X. Mości zapowiadam tak: jeśliby tam włos miał spaść z tych głów, które miłuję, a które w Kiejdanacli ostały, owe listy i dokumenta do pana Sapiehy odsyłam, a kopje drukować każę i po kraju rozrzucę. Masz W. X. Mość wóz i przewóz: albo po wojnie, gdy spokój w Rzpłitej nastanie, oddasz mi Billewiczów, a ja W. X. Mości listy, albo, jeślibym złą nowinę

usłyszał, zaraz pan Sapieha pokaże je Pontusowi. Chce się W. X. Mości korony, jeno nie wiem, czy wówczas będzie ją na co włożyć, gdy głowa od polskiego lub szwedzkiego topora upadnie. Lepiej, widzi mi się, zamianę uczynić — bo choć ja pomsty i potem nie zaniecham, ale już się jeno privatim[1] rozprawiać będziem. Bogu W. X. Mość poleciłbym, gdyby nie to, że sam djabelskie auxilia nad Boskie przekładasz. — Kmicic“.

„P. S. Konfederatów W. X. Mość nie wytrujesz, bo będą tacy, co idąc z djabelskiej służby w Boską, ostrzegą ich, by ni w Orlu, ni w Zabłudowie piwa nie pili“.

Tu zerwał się pan Kmicic i począł chodzić po izbie. Twarz mu pałała, bo go własny list jako ogień rozpalił. List ten był jakoby manifestem wojny z Radziwiłłami, ale przecie czuł pan Kmicic w sobie jakąś nadzwyczajną siłę i gotów był, choćby w tej chwili, stanąć oko w oko potężnemu rodowi, który trząsł całym krajem. On, prosty szlachcic, prosty rycerz, on, banita prawem ścigany, on, który znikąd nie spodziewał się pomocy, naraził się wszystkim tak, że wszędzie za nieprzyjaciela był poczytywany, — on, niedawno zwyciężony, czuł teraz w sobie taką potęgę, iż widział już jakby proroczem okiem upokorzenie książąt Janusza i Bogusława i swoje zwycięstwo. Jak

---

[1] jako osoby prywatne.

będzie prowadził wojnę, gdzie znajdzie sprzymierzeńców, w jaki sposób zwycięży, nie wiedział, — co więcej: nie namyślał się nad tern. Wierzył tylko głęboko, że czyni to, co uczynić powinien, że słuszność i sprawiedliwość, zatem i Bóg, będzie z nim. To napawało go ufnością bez miary i granic. Uczyniło mu się na duszy lżej znacznie. Otwierały się przed nim jakby całkiem jakieś nowe krainy. Siąść tylko na koń i jecliać mu tam, a dojedzie do czci, sławy, i do Oleńki.

— Przecie jej włos z głowy nie spadnie — powtarzał sobie z gorączkową jakąś radością; — listy ją obronią... Będzie jej hetman strzegł, jak oka w głowie... jak ja sam! O tom sobie poradził! Robak ja lichy, a przecie się mego żądła ulękną.

Nagle przyszła mu taka myśl:

— A żeby i) do niej napisać? Posłaniec, który powiezie list do hetmana, może i jej wręczyć kartę sekretnie. Jakże nie oznajmić jej, żem z Radziwiłłami zerwał i że innej idę szukać służby?

Ta myśl trafiła mu wielce zrazu do serca. Zaciąwszy się na nowo w rękę, umoczył pióro i począł pisać: „Oleńko, już ja nie radziwiłłowski, bom wreszcie przejrzał...“ Lecz nagle przerwał — pomyślał chwilę, a potem rzekł sam do siebie:

— Niechże uczynki, nie słowa, świadczą odtąd za mnie; nie będę pisał!

I podarł kartę.

Natomiast napisał na trzeciej krótki list do Wołodyjowskiego, w następujących słowach:

„Mości pułkowniku! Niżej podpisany przyjaciel ostrzega, abyście się mieli na baczności, tak WM. Pan, jak i inni pułkownicy. Były listy hetmańskie do x. Bogusława i p. Harasimowicza, aby Waszmościów truć lub chłopom na kwaterach kazać mordować. Harasimowicza niema, bo z x. Bogusławem do Prus, do Tylży wyjechał, ale podobne rozkazy mogą być i do innych ekonomów. Tych się Waszmościowie strzeżcie, więc nic od nich nie przyjmujcie i po nocach bez straży nie sypiajcie. Wiem to także pewno, że pan hetman pociągnie wkrótce z wojskiem na Waszmościów, czeka tylko na jazdę, której mu półtora tysiąca komunika ma jenerał de la Gardie nadesłać. Tedy baczcie, aby was nie zaskoczył i pojedynczo nie znosił. A najlepiej poślijcie pewnych ludzi do pana wojewody witebskiego, aby osobą swą co najprędzej nadjechał i komendę nad wszystkimi objął. Życzliwy to radzi — wierzcie mu! Tymczasem kupy się trzymajcie, chorągiew od chorągwi niedaleko kwatery wybierając, abyście jedni drugim na pomoc iść mogli. Hetman mało ma jazdy, jeno trochę dragonów i Kmicicowycli ludzi, ale niepewnych. Kmicica samego niema, któremu hetman jakąś inną funkcję obmyślił, bo podobno już mu nie ufa. Któren też nie jest

taki zdrajca, jak powiadają, jeno uwiedziony. Bogu was polecam. — Babinicz“.

Pan Andrzej nie chciał kłaść pod listem własnego nazwiska, sądził bowiem, że ono w każdym musi wzbudzić wstręt, a zwłaszcza nieufność. „Jeżeli rozumieją (myślał sobie), że lepiej im będzie wymykać się przed hetmanem, niż kupą mu zajść drogę, tedy, obaczywszy moje nazwisko, zarazi będą podejrzewali, że umyślnie w kupę ich chcę zebrać, aby hetman jednym zamachem mógł z nimi skończyć; pomyślą, że to nowa sztuka, — a od jakiegoś Babinicza prędzej przyjmą przestrogę“.

Babiniczem zaś nazwał się pan Andrzej od miasteczka Babinicze, leżącego niedaleko Orszy, które od prastarych czasów do Kmiciców należało.

Napisawszy więc ów list, w którego końcu umieścił kilka nieśmiałych słów na własną obronę, doznał nowej w sercu pociechy na myśl, że oto już tym listem pierwszą oddaje usługę, nietylko panu Wołodyjowskiemu i jego przyjaciołom, ale wszystkim pułkownikom, którzy ojczyzny dla Radziwiłła nie chcieli porzucić. Czuł przytem, że ta nić będzie się snuła dalej. Terminy, w które popadł, były istotnie ciężkie, niemal desperackie, ale przecie znalazła się jakaś rada, jakoweś wyjście, jakaś wąska ścieżka, która mogła na gościniec wyprowadzić.

Lecz teraz, gdy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Oleńka byki zabezpieczona od zemsty księcia wojewody, a konfederaci od niespodziewanego napadu, zadał sobie pan Andrzej pytanie, co sam będzie czynił.

Zerwał ze zdrajcami, spalił za sobą mosty, cbciał teraz służyć ojczyźnie, ponieść jej w ofierze siły, zdrowie, gardło — ale jak to uczynić? jak zacząć? do czego przyłożyć ręki ?

I znów przyszło mu do głowy:

— Iść do konfederatów...

Lecz jeśli nie przyjmą, jeśli zdrajcą ogłoszą i usieką, albo, co gorzej, sromotnie wypędzą?

— Wolejby[1] usiekli!— zakrzyknął pan Andrzej i spłonął ze wstydu i poczucia własnej sromoty. — Podobnoż to łatwiej ratować Oleńkę, łatwiej konfederatów, niż sławę własną.

Tu dopiero rozpoczynały się prawdziwie desperackie terminy.

I znów junacka dusza poczęła kipieć.

— Albo to nie mogę czynić, jakom przeciw Chowańskiemu czynił? — rzekł do siebie. — Kupę zbiorę, będę Szwedów najeżdżał, palił, ścinał. Nie nowina mi to! Nikt im się nie oparł, ja się oprę, aż przyjdzie chwila, że

[1] bodajby raczej.

jako Litwa pytała, tak cała Rzeczpospolita spyta: kto ów junak, który sam jeden śmie lwu w paszczę włazić? — Wtedy czapkę zdejmę i powiem: „Patrzcie, to ja, Kmicic!“

I taka porwała go chęć paląca do tej krwawej roboty, że już chciał wypaść z izby, kazać na koń siadać Kiemliczom, ich czeladzi, swoim, i ruszać.

Lecz nim doszedł do drzwi, uczuł nagle jakoby go coś pchnęło w piersi i odtrąciło od proga. Stanął na środku izby i patrzył przed siebie zdumiony.

— Jakże to? Zali tem win nie zmażę?

I wnet począł rozprawę z własnem sumieniem.

— A gdzie pokuta za winy? — pytało sumienie. — Tu trzeba czego innego!

— Czego? — pytał Kmicic.

— Czemże możesz zgładzić winy, jeśli nie służbą jakowąś ciężką i niezmierną, a uczciwą i czystą jako łza?... Zali to służba zebrać kupę hultajów i buszować z nimi jako wicher po polu i puszczy? Zali nie dlatego jej pragniesz, że ci pachnie zabij.atyka, jako psu pieczeń? Ta-że to zabawa, nie służba, — kulig, nie wojna, — rozbój, nie ojczyzny obrona! A czynił-żeś tak przeciw Chowańskiemu, i cóżeś wyjeździł? Łotrzykowie, co po lasach grasują, gotowi także napadać na komendy szwedzkie, ,a ty skąd weźmiesz innych ludzi? Szwedów naszarpiesz, ale i obywateli naszar-

piesz, pomstę na nich ściągniesz, i co wskórasz? Sianem się, kpie, chcesz wywinąć od pracy i pokuty!

Tak to mówiło w panu Kmicicu sumienie, a pan Kmicic widział, że ma słuszność, i złość go brała i żal jakiś do własnego sumienia, że taką gorzką mówiło prawdę.

— Co ja pocznę? — rzekł wreszcie — kto mi poradzi, kto mnie wyratuje?

Tu kolana poczęły się giąć jakoś pod panem Andrzejem, aż wreszcie ukląkł przy tapczanie i począł się modlić głośno i prosić z całej duszy i serca:

— Jezu Chryste, Panie miły, — mówił, — jakoś się na krzyżu nad łotrem ulitował, tak zlituj się i nade mną. Oto pragnę obmyć się z grzechów moich, nowy żywot rozpocząć i ojczyźnie poczciwie służyć, ale nie wiem, jak, bom głupi. Służyłem tamtym zdrajcom, Panie, też nietyle ze złości, ale jako właśnie z głupoty; oświeć mnie, natchnij, pociesz w desperacji mojej, i ratuj w miłosierdziu swojem, bo zginę...

Tu głos zadrgał panu Andrzejowi, począł się bić w pierś szeroką, aż grzmiało w izbie, i powtarzać:

— Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu!

Poczem złożywszy ręce i wyciągnąwszy je do góry, tak dalej mówił:

— A Ty, Panienko Najświętsza, przez heretyków w tej ojczyźnie insultowana, wstaw się za mną do Syna swego, zstąp ku ratunkowi memu, nie opuszczaj mnie w utrapieniu i biedzie mojej, abym Tobie mógł służyć, insulta Twoje pomścić, i w godzinę skonania mieć Cię za patronkę przy nieszczęsnej duszy mojej!

A gdy tak błagał pan Kmicic, łzy poczęły mu padać jak groch z oczu, nakoniec spuścił głowę na tapczan i trwał w milczeniu, jakby czekając na skutek swej żarliwej modlitwy. Nastała cisza w izbie i tylko mocny szum pobliskich sosen dochodził z zewnątrz. Wtem zaskrzypiały wióry pod ciężkiemi krokami za oknem i dwa głosy poczęły rozmawiać:

— A co myślicie, panie wachmistrzu, gdzie stąd pojedziem?

— Albo ja wiem?! — odparł Soroka. — Pojedziem, taj tylko! Może hen! do króla, któren pod szwedzką ręką jęczy.

— Zali to prawda, że go wszyscy opuścili?

— Ale go Pan Bóg nie opuścił.

Kmicic powstał nagle od tapczana, a twarz miał jasną i spokojną; szedł prosto ku drzwiom, i otworzywszy drzwi od sieni, rzekł do żołnierzy:

— Konie mieć gotowe, w drogę czas!

ROZDZIAŁ IV.

Wnet ruch uczynił się między żołnierzami, którzy radzi byli wyjechać z lasu na daleki świat, tern bardziej, że bali się jeszcze pościgu ze strony Bogusława Radziwiłła, a stary Kiemlicz poszedł do chaty, rozumując, że Kmicic będzie go potrzebował.

— Wasza miłość chce jechać? — rzekł wchodząc.

— Tak jest! Wyprowadzisz mnie z lasu. Znasz tu wszystkie pasy?

— Znam, ja tutejszy... A dokąd wasza miłość chce jechać?

— Do króla jegomości.

Stary cofnął się ze zdumieniem.

— Panno mądra! — zakrzyknął — do jakiego króla, wasza miłość?

— Jużci nie do szwedzkiego.

Kiemlicz nietylko nie ochłonął, ale począł się żegnać.

— To wasza miłość chyba nie wie, co ludzie powiadają, że król jegomość na Śląsk się schronił, bo go wszyscy opuścili. Kraków nawet w oblężeniu.

— Pojedziem na Śląsk.

— Ba, a jakże się przez Szwedów przedostać?

— Czy po szlacliecku, czy po chłopsku, czy na kulbace, czy piechotą, wszystko jedno, byle się przedostać!

— Toż to i czasu okrutnego trzeba...

— Mamy czasu dość... Ale radbym jak najprędzej...

Kiemlicz przestał się dziwić. Stary zbyt był chytry, aby się nie domyślić, że jest jakiś szczególny i tajemniczy powód w tern przedsięwzięciu pana Kmicica, i zaraz tysiące przypuszczeń poczęło mu się cisnąć do głowy. Lecz że żołnierze Kmicicowi, którym pan Andrzej milczenie nakazał, nic nie rzekli, ni staremu, ni synom, o porwaniu księcia Bogusława, tedy najprawdopodobniejszem wydało mu się przypuszczenie, że to zapewne książę wojewoda wileński wysyła młodego pułkownika z jakąś misją do króla. Utwierdzało go w tern mniemaniu zwłaszcza to, że poczytywał Kmicica za gorliwego stronnika hetmańskiego i o jego zasługach względem hetmana wiedział, albowiem skonfederowane chorągwie rozniosły o nich wieść po całem województwie podlaskiem, czyniąc Kmicicowi opinję okrutnika i zdrajcy.

— Hetman posyła zaufanego do króla, — pomyślał stary, — to znaczy, że się pewnie z nim godzić chce i Szwedów odstąpić. Musiały mu się już naprzykrzyć ich rządy... Pocóż inaczejby posyłał?...

Stary Kiemlicz niedługo się silił nad rozwiązaniem tego pytania, bo chodziło mu zupełnie o co innego, a mianowicie o to, jakąby korzyść mógł dla siebie z takich termi-

nów wyciągnąć. Oto, jeżeli przysłuży się Kmicicowi, przysłuży się zarazem hetmanowi i królowi, co nie będzie bez znacznej nagrody. Łaska takich panów przyda się także, gdyby przyszło ze starych grzechów zdawać rachunek. Przytem pewnie będzie wojna, kraj rozgorzeje, a wtedy łup sam lezie w ręce. To wszystko uśmiechnęło się staremu, który i bez tego przywykł był słuchać Kmicica, a nie przestał się go bać jak ognia, żywiąc zarazem ku niemu pewien rodzaj afektu, jaki pan Andrzej umiał wzbudzać we wszystkich podkomendnych.

— Wasza miłość — rzekł — musi całą Rzeczpospolitą przejechać, by się do króla jegomości dostać. Nic to jeszcze komendy szwedzkie, bo miasta można omijać i lasami jechać... Ale gorsze to, że i po lasach, jako zwyczajnie w niespokojnym czasie, pełno kup swawolnych, które podróżnych napastują, a wasza miłość ludzi ma mało...

— Pojedziesz ze mną, panie Kiemlicz, razem z synami i z ludźmi, których masz, to będzie nas więcej.

— Wasza miłość rozkaże, to i ja pojadę, ale jam człek ubogi. Jedna nędza u nas, więcej nic. Jakże mnie to onej chudoby i dachu nad głową ustąpić?

— Co uczynisz, to się opłaci, a i dla was lepiej głowy stąd unieść, póki jeszcze na karkach siedzą.

— Wszyscy Święci Pańscy!... Co wasza miłość mówi?... co?... Jakto?... Co mnie niewinnemu tu grozi? Komu my w drogę wchodzim?...

Na to pan Andrzej:

— Znają was tu, liultaje! Mieliście kollokację z Kopystyńskim i usiekliście go, potem zbiegliście przed sądami i służyliście u mnie; potem uprowadziliście mi tabun zdobyczny...

— Jako żywo! Panno można! — zakrzyknął stary.

— Czekaj i milcz! Potem wróciliście do starego legowiska i poczęliście grasować w okolicy, jako zbóje, konie i łup wszędy biorąc. Nie wypieraj się, bo ja nie twój sędzia, a sam najlepiej wiesz, jeżeli prawdę mówię... Bierzecie konie Zołtareńkowym, to dobrze, bierzecie Szwedom, to dobrze. Jak was złapią, to i ze skóry złupią, ale to ich rzecz.

— Godzi się to, godzi, bo nieprzyjaciołom tylko bierzem — rzekł stary.

— Nieprawda jest, bo i swoich napadacie, co mi już twoi synalowie wyznali, a to już prosty rozbój i szlacheckiemu imieniowi zakała. Wstyd wam, hultaje!... Chłopami wam być, nie szlachtą!

Poczerwieniał na to stary wyga i rzekł:

— Wasza miłość krzywdzi nas, bo my, pamiętając na stan nasz, chłopskim procederem się nie bawim. My koni nocą z niczyich sta-

jen nie wyprowadzamy. Co innego z łąk stadko porwać, albo zdobyć. To wolno i niemasz w tem ujmy w wojennych czasach dla szlachcica. Ale koń w stajni święta rzecz, i chyba cygan, żyd, albo chłop go ukradnie, nie szlachcic! My tego, wasza miłość, nie czynim. Ale co wojna, to wojna!

— Choćby i dziesięć wojen było, w bitwie jeno możesz łup brać, a jeśli go na gościńcu szukasz, toś hultaj!

— Bóg świadkiem naszej niewinności.

— Aleście już tu piwa nawarzyli. Krótko mówiąc, lepiej wam stąd uchodzić, bo, prędzej, później, stryczek was nie minie. Pojedziecie ze mną; wierną służbą zmażecie winy i cześć odzyskacie. Biorę was do służby, ii już tam i korzyść się znajdzie lepsza, niż z onych koni.

— Pojedziem z waszą miłością wszędy, przeprowadzim przez Szwedów i przez liultajów, bo, prawdę waszej miłości rzec, to nas tu źli ludzie okrutnie prześladują, a za co? za co?... Za nasze ubóstwo — nic! jak za ubóstwo... Może też Bóg zmiłuje się nad nami i poratuje nas w utrapieniu!

Tu stary Kiemlicz mimowoli zatarł ręce i błysnął oczyma.

— Od tych robót — pomyślał sobie — zagotuje się w kraju jak w kotle, a wtedy głupi nie skorzysta.

Wtem Kmicic spojrzał na niego bystro.

— Jeno nie próbuj mnie zdradzić! — rzeki groźnie, — bo nie zdzierżysz, a ręka Boska jedna zdoła cię wówczas wyratować!

— To się po nas nie pokazało, — odrzekł ponuro Kiemlicz, — i niech mnie Bóg potępi, jeśli mi taka myśl w głowie postała.

— Wierzę, — rzekł po krótkiem milczeniu Kmicic, — bo zdrada, to jeszcze co innego niż hultajstwo, i niejedne hultaj przecie tego nie uczyni.

— Co wasza miłość teraz rozkaże? — zapytał Kiemlicz.

— Naprzód są dwa listy, potrzebujące prędkiej ekspedycji. Masz-li ludzi roztropnych ?

— Gdzie mają jechać?

— Jeden niech jedzie do księcia wojewody, ale nie potrzebuje samego widzieć. Niech jeno list odda w pierwszej książęcej chorągwi i wraca, nie czekając odpowiedzi.

— Smolarz pojedzie, to człek roztropny i bywały.

— Dobrze. Drugi list trzeba odwieźć ku Podlasiowi; pytać o chorągiew laudańską pana Wołodyjowskiego i samemu pułkownikowi w ręce oddać...

Stary począł mrugać chytrze i tak myślał:

— To, widzę, robota na wszystkie strony, kiedy już i z konfederatami sią wąchają; będzie ukrop! będzie!...

Poczem rzekł głośno:

— Wasza miłość! Jeśli to nie tak pilne pismo, to możeby, wyjechawszy z lasów, komu po drodze oddać. Siła tu szlachty konfederatom sprzyja i każdy chętnie odwiezie, a nam się jeden więcej człowiek zostanie.

— Toś roztropnie wykalkulował, — rzekł Kmicic, — bo lepiej, żeby ten, co zawiezie list, nie wiedział, od kogo wiezie. A czy prędko wÿjedziem z lasów?

— Jak wasza miłość chce. Może jechać i dwie niedziele, albo jutro wyjechać.

— Tedy potem o tein, a teraz słuchaj mnie pilno, Kiemlicz!

— Zważam wszystkim rozumem, wasza miłość.

— Ogłosili mnie — rzekł Kmicic — w całej Rzeczypospolitej za okrutnika i hetmańskiego zaprzedańca, albo zgoła szwedzkiego. Gdyby król jegomość wiedział, ktom jest, mógłby mnie nie ufać i intencją moją wzgardzić, która jeżeli nie jest szczera, Bóg widzi! Uważaj, Kiemlicz!

— Uważam, wasza miłość.

— Tedy nie nazywam się Kmicic, jeno Babilliez, rozumiesz? Nikt nie ma mego prawdziwego przezwiska wiedzieć. Gęby mi nie otworzyć, pary nie puścić. A będą pytać, skąd jestem, to powiesz, żeś się po drodze do mnie przyłączył i nie wiesz; natomiast rzekniesz : kto ciekaw, niech się samego pyta.

— Rozumiem, wasza miłość.

— Synom zapowiesz, czeladzi także. Choćby z nich pasy darto, nazywam się Babinicz. Gardłem mi za to odpowiadacie!

— Tak i będzie, wasza miłość. Pójdę synom zapowiedzieć, bo tym szelmom trzeba łopatą w łeb kłaść. Taka mi z nich pociecha... Bóg pokarał za dawne grzechy... Ot co!... Pozwoli wasza miłość słowo jeszcze powiedzieć?

— Mów śmiele.

— Widzi mi się lepiej będzie, jeżeli nie powiemy ni żołnierzom, ni czeladzi, dokąd jedziem?

— Tak ma i być.

— Dość niech wiedzą, że pan Babinicz, nie pan Kmicic, jedzie. A po drugie: chcąc w taką drogę jechać, lepiejby ukryć szarżę waszej miłości.

— Jakto?

— Bo Szwedzi glejty znaczniejszym ludziom dają, a kto nie ma glejtu, tego do komendanta prowadzą.

— Ja glejty do komend'szwedzkich mam!

Zdziwienie błysnęło w chytrych oczach Kiemlicza, ale, pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Wasza miłość pozwoli jeszcze powiedzieć, co myślę?

— Byłeś dobrze radził, a nie marudził, to mów, bo widzę, żeś człek obrotny.

— Jeśli glejty są, to i lepiej, bo można w nagłym razie pokazać, ale jeżeli wasza miłość z taką robotą jedzie, która ma zostać ta-

jemna, to lepiej glejtów nie pokazywać. Nie wiem ja, czy one wydane na imię Babinicza, czy na pana Kmicica, ale pokazać, to ślad zostanie i pościg łatwiejszy.

— Jak w sedno utrafiłeś! — rzekł żywo Kmicic. — Wolę glejty zachować na inny czas, jeżeli można inaczej się przedostać!

—- Można, wasza miłość, a to w przebraniu chłopskiem, albo chudopacholskiem, co będzie łatwiej, bo u mnie tu jest trochę ochędóstwa, jako to czapek i kożuchów szarych, takich właśnie, jak drobna szlachta nosi. Wziąwszy tabunek [1] koni, możnaby pojechać z niemi, niby po jarmarkach, i przebierać się coraz głębiej, hen, aż pod Łowicz i Warszawę. Co ja, z przeproszeniem waszej miłości, nieraz już, jeszcze w spokojnych czasach, czyniłem i tamte drogi znam. Jakoś pod tę porę przypada jarmark w Sobocie, na który zdaleka się zjeżdżają. W Sobocie dowiemy się o innych miastach, gdzie jarmark, — i byle dalej! byle dalej!... Szwedzi też mniej na chudopachołków zważają, bo się mrowie tego po wszystkich jarmarkach kręci. A spyta nas jaki komendant, to mu się wytłumaczym, zaś mniejszym kupom można będzie, jeżeli Bóg i Najświętsza Panna pozwoli, po brzuchach przejechać.

— A jak nam konie zabiorą? — bo to rekwizycje [2] w czasie wojny codzienna rzecz...

---

[1] stadko. [2] przymusowe zabieranie.

— Albo kupią, albo zabiorą. Jeśli kupią, tedy nie z końmi, ale niby po konie do Soboty pojedziem, a jeśli zabiorą, podniesiemy lament i ze skargą będziem jechali aż do Warszawy i Krakowa.

— Chytry masz rozum — rzeki Kmicic — i widzę, że mi się przydacie. Choćby też Szwedzi te konie zabrali, to znajdzie się taki, który zapłaci.

— I tak ja miałem do Ełku, do Prus, z niemi jechać, to się dobrze składa, bo właśnie tamtędy droga nam wypadnie. Z Ełku pojedziem granicą, potem wyprostujem na Ostrołękę, a stamtąd puszczą aż pod Pułtusk i Warszawę.

— Gdzie to ona Sobota?

— Niedaleko Piątku, wasza miłość.

— Kpisz, Kiemlicz?

— Zaśbym śmiał! — odrzekł stary, krzyżując ręce na piersiach i skłaniając głowę, — jeno się tam tak dziwnie miasteczka nazywają. To za Łowiczem, wasza miłość, ale jeszcze kawał drogi.

— I jarmarki znaczne w onej Sobocie?

— Nie takie, jak w Łowiczu, ale jest jeden w tej porze, na który nawet i z Prus konie pędzą i ludu siła się zjeżdża. Pewnie tego roku nie będzie gorzej, bo tam spokojnie. Szwedzi wszędy panują i po miastach załogi mają. Choćby się kto chciał ruszyć, to i nie może.

— Tedy przyjmuję twój sposób!... Pojedziemy z końmi, za które zgóry ci zapłacę, abyś szkody nie miał.

— Dziękuję waszej miłości za poratowanie.

— Przygotuj jeno kożuchy, czapki i szable proste, bo zaraz jedziem. A zapowiedz synalom i czeladzi, ktom jest, jak się nazywam, i że z końmi jadę, a wyście do pomocy najęci. Ruszaj!

A gdy stary zwrócił się ku drzwiom, pan Andrzej rzekł jeszcze:

— I nie będzie mnie nikt nazywał miłością, ni komendantem, ani pułkownikiem, jeno waszecią i, a z nazwiska Babiniczem!

Kiemlicz wyszedł, i w godzinę później siedzieli już wszyscy na koniach, gotowi ruszyć w daleką drogę.

Pan Kmicic, przybrany w szarą chudopacbolską świtę, w takąż czapkę z wytartym barankiem, i z przewiązaną twarzą, jakby po jakim karczemnym pojedynku, trudny był do poznania i wyglądał istotnie na szlachetkę, włóczącego się z jarmarku na jarmark. Otaczali go ludzie podobnie przybrani, zbrojni w proste szabliska i długie baty do popędzania koni, oraz arkany do chwytania rozbieganych.

Żołnierze poglądali ze zdziwieniem na swojego pułkownika, czyniąc sobie pocichu różne

---

[1] tak („z waszecia“) tytułowano drobną szlachtę.

o nim uwagi. Dziwno im było, że to już pan Babinicz, nie pan Kmicic, że go mają z waszecia traktować, a najbardziej ruszał na to ramionami i wąsami stary Soroka, który, patrząc jak w tęczę w groźnego pułkownika, mruczał do Biłousa:

— Chyba mi ów waszeć przez gardziel nie przejdzie. Niech mnie zabije, a ja taki po staremu oddam, co mu się należy!

— Jak rozkaz, to rozkaz! — odrzekł Biłous. — Ale się pułkownik zmienił okrutnie.

Nie wiedzieli żołnierze, że i dusza w panu Andrzeju zmieniła się tak Samo, jak i zewnętrzna postać.

— Rusza j ! — krzyknął nagle pan Babinicz.

Zaklaskały bicze, jeźdźcy otoczyli stadko
koni, które zbiły się w kupę, i ruszono.

ROZDZIAŁ V.

Idąc samą granicą między województwem trockiem a Prusami, szli przez lasy obszerne i bezdroża, Kiemliczom tylko znajome, aż weszli do Prus i dotarli do Łęgu, czyli, jak stary Kiemlicz nazywał, do Ełku, gdzie zasiągnęli nowin o rzeczach publicznych od bawiącej tam szlachty, która przed Szwedami pod moc elektorską się schroniła, wraz z żonami, dziećmi i dobytkiem.

Łęg wyglądał jak obóz, a raczej możnaby rzec, że sejmik jakowyś się w nim odprawuje. Szlachta piła pod wiechami piwo pruskie i rozprawiała, a coraz ktoś nowiny przywoził. Nie dopytując się o nic i tylko nadstawiając bacznie ucha, dowiedział się pan Babinicz, że Prusy Królewskie i możne w nich miasta stanowczo opowiedziały się po stronie Jana Kazimierza i już układ z elektorem zawarły, aby się wspólnie przeciw każdemu nieprzyjacielowi bronić. Mówiono jednak, że, mimo układu, znamienitsze miasta nie cliciały przyjąć załóg elektorskich, bojąc się, aby ów przebiegły książę, raz usadowiwszy się w nich zbrojną ręką, nie chciał potem na zawsze ich zagarnąć, albo żeby w stanowczej chwili ze Szwedami się zdradziecko nie połączył, do czego wrodzona chytrość zdolnym go czyniła.

Szlachta szemrała na tę nieufność mieszczan, ale pan Andrzej, znający praktyki radziwiłłowskie z elektorem, gryzł się tylko w język, by nie wypowiedzieć wszystkiego, co mu było wiadome. Powstrzymywała go od tego myśl, że niebezpiecznie było w Prusach elektorskich mówić głośno przeciwko elektorowi, a po wtóre, że szaremu szlachetce, który na targ z końmi przyjechał, nie wypadało wdawać się w zawiłe materje polityczne, nad któremi najbieglejsi statyści próżno głowy łamali.

Przedawszy więc parę koni, a dokupiwszy natomiast nowych, jechali dalej wzdłuż granicy pruskiej, ale już traktem prowadzącym z Łęgu do Szczuczyna, leżącego w samym kącie województwa mazowieckiego, między Prusami z jednej a województwem podlaskiem z drugiej strony. Do Szczuczyna samego nie chciał jednak pan Andrzej jechać, a to z tej okazji, że dowiedział się, iż w mieście stoi kwaterą jedna chorągiew konfederacka, której pułkownikuje pan Wołodyjowski.

Widocznie pan Wołodyjowski rnusiał iść mniej więcej tą samą drogą, którą jechał teraz Kmicic, i zatrzymał się w Szczuczynie, bądź dla krótkiego odpoczynku przed samą granicą podlaską, bądź na czasowe kwatery, w których łatwiej musiało być o żywność dla ludzi i koni, niż w mocno już wypłókanem Podlasiu.

Ale pan Kmicic nie chciał napotkać teraz słynnego pułkownika, albowiem sądził, że nie mając innych dowodów, prócz słów, nie zdoła go przekonać o swem nawróceniu i szczerości intencyj. Wskutek tego, w dwóch milach od Szczuczyna kazał skręcić w stronę Wąsoszy, ku zachodowi. Có do listu, który miał dla pana Wołodyjowskiego, postanowił przesłać go przez pierwszą pewną okazję.

Tymczasem, nie dojeżdżając Wąsoszy, zatrzymali się w przydrożnej karczmie, Po-

krzyk zwanej, i roztasowali się na nocleg, który obiecywał się być wygodny, bo w karczemce, prócz karczmarza Prusaka, nie było nikogo z gości.

Lecz zaledwie Kmicic z trzema Kiemliczami i Soroką zasiedli do wieczerzy, gdy z zewnątrz dał się słyszeć liurkot kół i tętent koni.

Że słońce jeszcze nie zaszło, Kmicic wyszedł przed karczmę popatrzeć, kto przyjeżdża, bo był ciekaw, czy nie jaki podjazd szwedzki, ale zamiast Szwedów, ujrzał brykę, za nią dwa wozy i ludzi zbrojnych około wozów.

Na pierwszy rzut oka łatwo było poznać, że to jakiś personat nadjeżdża. Bryka była zaprzężona w cztery konie, dobre, pruskie, o grubych kościach i malikowatych [1] grzbietach, foryś siedział na jednym z lejcowych [2], trzymając dwa psy piękne na smyczy; na koźle woźnica, a obok hajduczek przybrany z węgierska, na tylnem zaś siedzeniu sam pan, wsparty pod boki, z wilczurą [3] bez rękawów, spinaną na rzęsiste złocone guzy.

Ztyłu szło dwa wozy, dobrze pakowne, a przy każdym po czterech czeladzi, zbrojnych w szable i bandolety.

---

[1] wgiętych. [2] pierwszej pary (zaprzęgu w czwórkę), idęcej nie przy dyszlu, ale przodem, w lejcach. [3] płaszczem, podbitym wilczem futrem.

Sam pan, był to człowiek bardzo jeszcze młody, choć personat, lat ledwie dwudziestu kilku. Twarz miał pucołowatą, czerwoną, a i na całej osobie znać było, że sobie na jadło nie żałował.

Gdy bryka stanęła, hajduczek skoczył rękę podawać, a pan, ujrzawszy Kmicica stojącego w progu, kiwnął rękawicą i zawołał:

— A bywaj-no przyjacielu!

Kmicic, zamiast się zbliżyć, cofnął się do karczmy, bo go nagle złość wzięła. Nie przywykł jeszcze ani do szarej świty, ani do tego, by nań kiwano rękawicą. Wróciwszy tedy, siadł za stołem i wziął się znowu do jadła. Nieznajomy pan wszedł wślad za nim.

Wszedłszy, przymrużył oczy, bo w izbie mroczno było, gdyż tylko na kominie palił się niewielki ogień.

— A czemu to nikt nie wychodzi, gdy zajeżdżam? — rzekł nieznajomy pan.

— Bo karczmarz poszedł do komory, — odparł Kmicic, — a my podróżni, jako i wasza mość.

— Dziękuję za konfidencję. A co za podróżny?

— Szlachcic z końmi jadący.

— A kompanja takoż szlachta?

— Cliudopachołcy, ale szlachta.

— Tedy czołem, czołem, mopankowie. Dokąd Bóg prowadzi?

— Z jarmarku na jarmark, byle tabunku zbyć.

— Jeżeli tu nocujecie, to jutro po dniu obejrzę, może i ja co wybiorę. A tymczasem pozwólcie, mopankowie, przysiąść się do stołu.

Nieznajomy pan pytał wprawdzie, czy mu się przysiąść pozwolą, ale takim tonem, jakby był tego zupełnie pewien, jakoż nie omylił się, bo młody koniucha odrzekł grzecznie:

— Prosim bardzo wdzięcznie waszą mość, choć i nie mamy na co prosić, bo jeno grochem z kiełbasą możem częstować.

— Mam ja w puzdracli lepsze od tego specjały, — odparł nie bez pewnej pychy młody panek, — ale u mnie żołnierskie podniebienie, i groch z kiełbasą, byle dobrze podlany, nad wszystko przekładam.

To rzekłszy (a mówił bardzo powoli, chociaż spoglądał bystro i roztropnie), zasiadł na ławie, gdy zaś Kmicic usunął mu się tak, aby uczynić wygodne miejsce, dodał łaskawie:

— Proszę, proszę, nie inkomoduj się waćpan. W drodze się na godność nie uważa, a chociaż mnie też łokciem trącisz, to mi korona z głowy nie spadnie.

Kmicic, który właśnie przysuwał nieznajomemu miskę z grochem, a który, jako się rzekło, nie przywykł jeszcze do podobnego traktowania, byłby niezawodnie rozbił ją na gło-

wie nadętego młodzika, gdyby nie to, że było coś w tej nadętości takiego, co bawiło pana Andrzeja, więc nietylko że zaraz wewnętrzny impet powściągnął, ale się uśmiechnął i rzekł:

— Takie to teraz czasy wasza mość, że i z najwyższych głów korony spadają: exemplum nasz król Jan Kazimierz, który wedle prawa dwie powinien nosić, a nie ma żadnej, chyba jedną cierniową...

Na to nieznajomy spojrzał bystro na Kmicica, poczem westchnął i rzekł:

— Takie teraz czasy, że lepiej o tern nie mówić, chyba z konfidentami.

Po chwili zaś dodał:

— Aleś to roztropnie waćpan wywiódł. Musiałeś gdzieś po dworach przy politycznych ludziach sługiwać, bo mowa edukację wyższą, niż jest waćpanowa kondycja, pokazuje.

— Ocierając się między ludźmi, słyszało się to i owo, alein nie sługiwał.

— Skądże to rodem, proszę?

— Z zaścianka, z województwa trockiego.

— Nic to, że z zaścianka, byle szlachcic, bo to grunt. A co tam słychać na Litwie?

— Po staremu, zdrajców nie brak.

— Zdrajców? mówisz waćpan. A cóż to, proszę, za zdrajcy?

— Ci, którzy króla i Rzeczypospolitej odstąpili.

— A jak się ma książę wojewoda wileński?

— Chory, mówią: dech mu zatyka.

— Daj mu Boże zdrowie, zacny to pan!

— Dla Szwedów zacny, bo im wrota narozcież otworzył.

— To waćpan, widzę, nie jego partyzant?

Kmicic spostrzegł, że nieznajomy, wciąż niby dobrodusznie wypytując, bada go.

— Co mnie tam! — odrzekł — niech o tern inni myślą... Mnie strach, by mi Szwedzi koni w rekwizycję nie zabrali.

— To trzeba je było na miejscu zbyć. Ot, i na Podlasiu stoją podobno te chorągwie, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, a które pewnie nie mają koni do zbytku?

— Tego ja nie wiem, bom między niemi nie bywał, chociaż jakiś przejezdny pan dał mi list do jednego z ich pułkowników, abym go przy okazji oddał.

— Jakże to ów przejezdny pan mógł dać waćpanu list, skoro na Podlasie nie jedziesz?

— Bo w Szczuczynie stoi jedna konfederacka chorągiew, więc ów jegomość rzekł mi tak: albo sam oddasz, albo okazję znajdziesz, wedle Szczuczyna przejeżdżając.

— A to się dobrze składa, bo ja do Szczuczyna jadę.

— Wasza mość także przed Szwedami ucieka ?

Nieznajomy, zamiast odpowiedzieć, popatrzył pa Kmicica i spytał flegmatycznie:

— Czemu to waćpan mówisz: także, skoro sam nietylko nie uciekniesz, ale między nich jedziesz i konie im będziesz sprzedawał, jeśli ci ich siłą nie zabiorą?

Na to Kmicic ruszył ramionami.

— Mówiłem: także, bom w Łęgu widział wiele szlachty, którzy się przed nimi chronili, a co do mnie, niechby im się wszyscy przysługiwali, ile ja mam chęci im służyć, to tak myślę, żeby tu długo miejsca nie zagrzali...

— I nie boisz się tego mówić? — pytał nieznajomy.

— Nie boję się, bom też nie płochliwy, a po drugie, jegomość do Szczuczyna jedziesz, a w tamtej stronie wszyscy głośno mówią, co myślą, daj zaś Boże, by jak najprędzej od gadania do roboty przyszło.

— Widzę, że bystry z waszeci człowiek, nad kondycję! — powtórzył nieznajomy. — Ale kiedy tak Szwedów nie kochasz, czemu od onych chorągwi, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, odchodzisz? Zali to one zbuntowały się dla zatrzymanego żołdu, albo dla swywoli? Nie! — jeno że hetmanowi i Szwedom nie chciały służyć. Lepiejby było tym żołnierzom niebożętom pod hetmanem zostać, a przecie woleli narazić się na miano buntowników, na głód, niewywczasy i przeliczne zgubne terminy, niż przeciw królowi czynić. Że tam przyjdzie między nimi i Szwe-

darni do wojny, to pewno, a możeby już i przyszło, gdyby nie to, że Szwedzi jeszcze do tego kąta nie zaleźli... Poczekaj, zalazą, trafią tu, a wówczas zobaczysz waszeć!

— Tak i ja myślę, że tu się najprędzej wojna rozpocznie! — rzekł Kmicic.

— Ba, jeśli tak myślisz, a masz szczery ku Szwedom dyzgust (co ci i z oczu patrzy, że prawdę mówisz, bo ja się na tern znam), to czemu tedy do tych zacnych żołnierzów nie przystaniesz? Alboż to nie pora, alboż im nie potrzeba rąk i szabel? Niemało to tam zacnych służy, którzy woleli swojego pana nad cudzego, i coraz ich więcej będzie. Jedziesz waszeć z tych stron, w których Szwedów jeszcze wcale nie zaznali, ale ci, co ich zaznali, rzewnemi łzami płaczą. W Wielkopolsce, choć się im dobrowolnie poddała, już palce szlachcie w kurki od muszkietów wkręcają, a rabują, a rekwizycje czynią, co mogą zabierają... W tutejszem województwie nie lepszy ich proceder. Jenerał Stenbok wydał manifest, by każdy spokojnie w domu siedział, to go uszanują i jego dobro. Ale gdzietam! Jenerał swoje, a komendanci pomniejsi swoje, ■— tak, że nikt jutra nie pewien, ani tego, co od fortuny ma. Każdy chce się cieszyć z tego, co posiadł, aby zaś w spokoju używał i aby mu dobrze było. A tu przyjedzie pierwszy lepszy przybłęda i „daj!“ Nie dasz, to ci winę znajdą, aby z majętności cię wyzuć, albo,

winy nie szukając, szyję utną. Niejeden się już łzami rzewnemi zalewa, dawnego pana wspomniawszy, a wszyscy w opresji, ciągle ku onym konfederatom spoglądają, czy od nich jakowy ratunek dla ojczyzny i obywatelów nie przyjdzie...

— Wasza mość, — rzekł Kmicic, — widzę, nie lepiej Szwedom ode mnie życzy?

Nieznajomy pan obejrzał się jakby z pewnym strachem wokoło, ale wprędce uspokoił się i tak dalej mówił:

—■ Życzę im, żeby ich mór wytłukł, i tego przed waszecią nie ukrywam, gdyż widzi mi się, żeś poczciwy, a choćbyś i nie był poczciwy, to mnie nie zwiążesz i Szwedom nie odwieziesz, bo się nie dam, mając zbrojną czeladź i szablę przy boku.

— Możesz wasza mość być pewien, że tego nie uczynię; owszem: po sercu mi waścina fantazja. Już i to mi się podoba, żeś waszmość nie wahał się substancji zostawić, na której nieprzyjaciel mścić się nie omieszka. Bardzo się chwali taka życzliwość ku ojczyźnie.

Kmicic mimowoli począł mówić tonem protekcjonalnym, jak zwierzchnik do podwładnego, nie zastanowiwszy się, że takie słowa mogły się dziwnie wydawać w ustach szlachetki-koniuchy, ale widocznie i młody pan nie zwrócił na to uwagi, bo począł tylko chytrze mrugać oczyma i odrzekł:

— Albo ja głupi? U mnie pierwsza reguła, żeby moje nie przepadło, bo co Pan Bóg dał, to trzeba szanować. Siedziałem cicho do sprzętów [1] i omłotów. Dopieroż, jakem całą krescencję[2] do Prus sprzedał i inwentarze i wszelki statek [3], tak pomyślałem sobie: czas w drogę! Niechże się teraz na mnie mszczą, niech mi zabierają, co im do smaku przypadnie.

— Zawsze zostawiłeś wasza mość ziemię i budynki.

— Ba, kiedy ja starostwo wąsockie dzierżawą trzymam od wojewody mazowieckiego, a właśnie mi się kontrakt skończył. Jeszczem ostatniej raty nie zapłacił, i nie zapłacę, bo, jako słyszę, i pan wojewoda mazowiecki ze Szwedem trzyma. Niechże mu za to rata przepadnie, a mnie się gotowy grosz przyda.

Kmicic począł się śmiać.

— Bodajże waszinośći! Widzę, żeś nietylko mężny kawaler, ale i roztropny!

— Jakże? — odrzekł nieznajomy. — Roztropność, to grunt! Ale nie o roztropności z waćpanem mówiłem... Czemu to, czując krzywdy ojczyzny i pana miłościwego, nie pójdziesz do onycli zacnych żołnierzów na Podlasie i pod znak się nie zaciągniesz? I Bogu się przysłużysz, i samemu może się po-

---

[1] zebrania zboża z pola. [2] zbiory. [3] przybory, narzędzia gospodarcze.

szczęścić, bo to już niejednemu się przytrafiło, że z chudopachołka na pana z wojny wyszedł. Widać po waści, żeś człek śmiały i rezolutny, a gdy ci urodzenie nie staje na przeszkodzie, możesz wprędce do jakiej takiej fortuny dojść, jeśli Bóg łupu przysporzy. Byle nie trwonić tego, co tu i owdzie w ręce wpadnie, to i mieszek napęcznieje. Nie wiem, czyli masz jakową zagrodę, czyli nie masz, ale mógłbyś mieć: z mieszkiem o dzierżawę nietrudno, a z dzierżawy, przy pomocy Boskiej, i do dziedzictwa niedaleko. A tak, zacząwszy od pachołka, możesz towarzyszem umrzeć, albo na jakim urzędzie ziemskim, byłeś się pracy nie lenił, bo kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Kmicic wąsy gryzł, bo go pusty śmiech brał; więc twarz mu drgała, a zarazem i krzywił się, bo od czasu do czasu od przyschniętej rany boleści go brały.

Nieznajomy pan mówił dalej:

— Przyjąć cię tam, przyjmą, bo ludzi potrzebują, a zresztą udałeś mi się waćpan i biorę cię pod opiekę, przy której i promocji możesz być pewien.

Tu młodzieńczyk podniósł z dumą pucołowatą twarz i począł ręką po wąsikach się gładzić; wreszcie rzeki:

— Chcesz-li być moim rękodajnym? Szablę będziesz za mną nosił i nad czeladzią miał dozór.

Kmicic nie wytrzymał i parsknął szczerym, wesołym śmiechem, aż mu wszystkie zęby zabłysły.

— Czego się wasze śmiejesz? — pytał nieznajomy, marszcząc brwi.

— To z ochoty do tej służby.

Lecz młody personat obraził się na dobre i rzekł:

— Głupi, kto waćpana tych manier nauczył, i bacz, z kim mówisz, abyś w konfidencji miary nie przebrał.

— Wasza mość wybaczy, — rzekł wesoło Kmicic, — bo właśnie nie wiem, przed kim stoję.

Młody pan wziął się w boki:

— Jestem pan Rzędzian z Wąsoszy — rzekł z dumą.

Kmicic otwierał już usta, ażeby powiedzieć swoje przybrane nazwisko, gdy wtem Biłous wszedł spiesznie do izby.

— Panie komen...

Tu urwał żołnierz, powstrzymany groźnym wzrokiem Kmicica, zmieszał się, zaciął, i wreszcie wykrztusił z wysileniem:

— Proszę waszmości, ludzie jacyś jadą.

— Skąd?

— Od Szczuczyna.

Teraz pan Kmicic stropił się nieco, ale pokrywając prędko pomieszanie, odparł:

— A mieć się na baczności. Duża kupa idzie?

— Będzie z dziesięć koni.

— Bandoleciki mieć gotowe. Ruszaj!

Poczem, gdy żołnierz wyszedł, zwrócił się do pana Rzędziana z Wąsoszy i rzekł;

— Czy aby nie Szwedzi?

— Przecie ku nim waćpan idziesz, — odparł pan Rzędzian, który od niejakiego czasu poglądał ze zdziwieniem na młodego szlachcica, — więc, prędzej, później, musisz ich spotkać.

— Wołałbym też Szwedów, aniżeli jakowych hultajów, których wszędy pełno... Kto jedzie z końmi, musi zbrojno jechać i mieć się na baczeniu, bo okrutnie to łasa rzecz.

— Jeżeli prawda, że w Szczuczynie stoi pan Wołodyjowski, — odparł Rzędzian, — to pewnie jego podjazd. Nim się zakwaterują, chcą się przekonać, czyli kraj bezpieczny, bo ze Szwedami o miedzę trudnoby spokojnie usiedzieć.

Usłyszawszy to pan Andrzej, zakręcił się po izbie i usiadł w najciemniejszym jej kącie, gdzie okap komina rzucał gruby cień na róg stołu, a tymczasem z przed sieni doszedł tętent i parskanie koni, i po chwili kilku ludzi weszło do izby.

Idący na czele, chłop olbrzymi, stukał drewnianą nogą w luźne deski, któremi izba była wyłożona. Kmicic spojrzał nań i serce zabiło mu w piersiach.

Był to Józwa Butrym, zwany Beznogim.

— A gdzie gospodarz? — spytał, stanąwszy na środku izby.

— Jestem! — odrzekł karczmarz — do usług waszmości.

— Dla koni obrok!

— Niema u mnie obroków, chyba ci panowie użyczą.

To rzekłszy, karczmarz wskazał na Rzędziana i koniuchów.

— Czyi to ludzie? — spytał Rzędzian.

— A ktoś waćpan sam?

— Starosta z Wąsoszy.

Rzędziana, jako dzierżawcę starostwa, zwali zwykle właśni jego ludzie starostą, i on się sam tak nazywał w ważniejszych okazjach.

Ale Józwa Butrym zmieszał się, widząc, z jak wysoką osobą ma do czynienia, więc zdjął czapkę i rzeki łagodnym tonem:

— Czołem, wielmożny panie... Pociemku nie można godności rozeznać.

— Czyi ludzie? — powtórzył Rzędzian, biorąc się w boki.

—- Laudańscy, z chorągwi dawniej billewiczowskiej, a dziś pana Wołodyjowskiego.

— Dla Boga! To pan Wołodyjowski jest w Szczuczynie?

— Osobą swoją i z innymi pułkownikami, którzy ze Żmudzi przyszli.

— Bogu chwała, Bogu chwała! — powtarzał uradowany pan starosta. — A jacyż to pułkownicy są z panem Wołodyjowskim?

— Był pan Mirski, — mówił Butrym, — ale go szlag po drodze trafił, a jest pan Oskierka, pan Kowalski[1], dwóch panów Skrzetuskich...

— Jakich Skrzetuskich? — zakrzyknął Rzędzian. — Zali jeden z nich nie pan Skrzetuski z Burca?

— Tego nie wiem, skąd, — odparł Butrym, — jeno wiem, że to jest pan Skrzetuski zbarażczyk.

— Rety! to mój pan!

Tu spostrzegł Rzędzian, jak dziwnie brzmi taki okrzyk w ustach pana starosty, i dodał:

— Mój pan kum, chciałem rzec.

Tak mówiąc, nie zmyślał pan starosta, bo istotnie pierwszego syna Skrzetuskiego, Jaremkę, do chrztu trzymał w drugą parę.

Tymczasem Kmicicowi, siedzącemu w ciemnym kącie izby, myśli jedna za drugą poczęły się cisnąć do głowy. Naprzód zburzyła się w nim dusza na widok groźnego szaraka i ręka mimowoli chwyciła za szablę. Wiedział bowiem Kmicic, że to głównie Józwa przyczynił się do rozsiekania kompanjonów i jego samego najzaciętszym był wrogiem. Dawny pan Kmicic kazałby go w tej chwili porwać i końmi włóczyć, lecz dzisiejszy pan Babinicz przemógł się. Owszem, niepokój go ogarnął na myśl, że jeżeli szlachta go pozna, mogą stąd wypaść rozmaite dla dalszej podróży i całego przedsięwzięcia niebezpieczeństwa...

Postanowił więc nie dać się poznać i coraz głębiej zasuwał się w cień; wreszcie oparł się łokciami o stół, i wziąwszy głowę w dłonie, począł udawać, że drzemie.

Lecz jednocześnie szepnął do siedzącego obok Soroki:

— Ruszaj do stajni, niech konie będą w pogotowiu. Jedziemy na noc!

Soroka wstał i wyszedł.

Kmicic udawał dalej, że drzemie. Rozmaite wspomnienia poczęły mu cisnąć się do głowy. Ludzie ci przypomnieli mu Laudę, Wodokty, i tę przeszłość krótką, która jak sen minęła. Gdy przed chwilą Józwa rzekł, iż należą do chorągwi dawniej billewiczowskiej, to panu Andrzejowi aż serce zatrzęsło się w piersi na samo miano. I przyszło mu na myśl, że taki był właśnie wieczór, tak samo na kominie palił się ogień, gdy on jakoby ze śniegiem spadł niespodzianie do Wodoktów i po raz pierwszy ujrzał w czeladnej Oleńkę między prządkami.

Widział teraz przez zamknięte powieki, tak, jakby na jawie, tę pannę jasną, spokojną — wspominał wszystko, co zaszło, jako ona chciała mu być aniołem stróżem, w dobrem go umocnić, od złego zasłonić, prostą, zacną drogę pokazać. Gdyby jej był słuchał, gdyby jej był słuchał!... Toż ona wiedziała, co czynić, po jakiej stronie stanąć; wiedziała, gdzie cnota, uczciwość, obowiązek — i popro-

stu wzięłaby go za rękę i poprowadziła, gdyby był cliciał jej słuchać.

Tu miłość, podniecona rozpamiętywaniem, tak wezbrała w sercu pana Andrzeja, że gotów byłby wszystką krew wytoczyć, byle do nóg tej pannie paść, a w tej chwili gotów byłby porwać w ramiona nawet tego niedźwiedzia laudańskiego, który mu kompanjonów wygubił, dlatego tylko, że był z tamtych stron, że Billewiczów wspominał, że Oleńkę widywał.

Z zadumy zbudziło go dopiero jego własne nazwisko, powtórzone kilkakrotnie przez Józwę Butryma. Dzierżawca z Wąsoszy wypytywał o znajomych, a Józwa opowiadał mu, co zaszło w Kiejdanach od czasu pamiętnej ugody hetmana ze Szwedami — mówił więc o opozycji [1] wojska, o uwięzieniu pułkowników, o zesłaniu ich do Birż i szczęśliwem ocaleniu. Nazwisko Kmicica powtarzało się oczywiście w tych opowiadaniach, pokryte całą zgrozą zdrady i okrucieństwa. O tern, że pan Wołodyjowski, Skrzetuscy i Zagłoba winni byli życie Kmicicowi, nie wiedział Józwa, natomiast tak opowiadał to, co zaszło w Billewiczaćh:

— Schwycił nasz pułkownik tego zdrajcę w Billewiczacli, jak lisa w jamie, i zaraz go kazali na śmierć prowadzić; prowadziłem go

---

[1] oporze.

sam z wielką uciechą, że go ręka Boska dosięgła, i coraz tom mu latarką w oczy zaświecił, żeby «baczyć, czy też skruchy nie okaże. Ale nie! Szedł śmiele, nie bacząc, że przed sądem Bożym stanie. Taka już natura zatwardziała. A gdym mu doradził, żeby się choć przeżegnał, to mi odrzekł: „Stul gębę pachołku, nie twoja sprawa!“ Postawiliśmy go tedy za wsią, pod gruszą, i już począłem komendę, kiedy pan Zagłoba, który szedł z nami, kazał go obszukać, czyli jakich papierów przy nim niema. Jakoż znalazł się list. Powiada pan Zagłoba: „Poświeć!“ — i zaraz do czytania. Ledwie zaczął czytać, kiedy to się nie porwie za głowę: „Jezus Marja! dawaj go napowrót do dwora!“ Sam skoczył na konia i pojechał, a my go odprowadzili w tej myśli, że go każą jeszcze przypiec przed śmiercią, żeby języka od[1] niego zasięgnąć. Ale gdzietam! Puścili zdrajcę wolno. Nie moja głowa wchodzić w to, co tam wyczytali, ale jabym go nie był puścił.

— Cóż w tych listach było? — pytał dzierżawca z Wąsoszy.

— Nie wiem, co było: miarkuję tylko, że musieli być jeszcze różni oficyjerowie w rękach księcia wojewody, których zarazby kazał rozstrzelać, gdyby mu Kmicica rozstrzelali. A przytem, może się nasz pułkownik i łez panny Billewiczówny ulitował, bo podobno przez ręce leciała, że ledwie mogli jej docu-

cić... A wszelako... nie śmiem ja mówić, ale źle się stało, bo co ten człowiek złego naczynił, tegoby się sam Lucyper nie powstydził. Cała Litwa na niego płacze, a co wdów, co sierot, co ubóstwa na niego narzeka, Bogu tylko wiadomo! Kto jego zgładzi, będzie miał zasługę w niebiesiech i przed ludźmi, jakoby psa wściekłego zabił!

Tu rozmowa przeszła znowu na pana Wołodyjowskiego, na panów Skrzetuskich, na chorągwie stojące na Podlasiu.

— O wiwendę ciężko, — mówił Butrym, — bo dobra księcia hetmana doszczętu już wypłókane, ani człeku ani koniowi na ząb w nich nie znaleźć, a co jest szlachty, to uboga, po zaściankach, jako u nas na Żmudzi, siedząca. Postanowili tedy pułkownicy, żeby się po sto koni rozdzielić, i co milę, albo co dwie, od siebie stać. Ale jak przyjdzie zima, nie wiem, co będzie.

Kmicic, który słuchał dotąd cierpliwie, póki o nim była mowa — poruszył się teraz i już usta otworzył, by ze swego ciemnego kąta powiedzieć:

— To was hetman tak podzielonych pojedynczo ręką wybierze, jako raki z saka[1]

Lecz w tej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Soroka, którego Kmicic posłał był, by konie do drogi gotowano. Światło z komina padało wprost na srogą twarz wachmi-

---

1 wora.

strza; Józwa Butrym spojrzał na niego, popatrzył długą chwilę, poczem zwrócił się do Rzędziana i rzekł:

— Czy to waszej wielmożności człowiek?... Ja jego skądści znam!

— Nie, —• odparł Rzędzian, — to szlachta, która z końmi na jarmarki jedzie.

— A dokąd jedziecie? — pytał Józwa.

— Do Soboty — odparł stary Kiemłicz.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko Piątku.

Józwa również, jak poprzednio Kmicic, poczytał za żart niewczesny tę odpowiedź i rzekł, namarszczywszy brwi:

— Odpowiadaj, kiedy pytają!

— Jakiem prawem pytasz?

— Mogę ci się i z tego wywieść: bo mnie na podjazd wysłali, bym obaczył, czy podejrzanych ludzi w okolicy niemasz. Jakoż widzi mi się, że są, którzy nie chcą powiedzieć, dokąd jadą!

Kmicic, obawiając się, żeby jaka zwada z tej rozmowy nie wynikła, rzekł, nie ruszając się z ciemnego kąta:

— Nie sierdź się, mości żołnierzu, bo Piątek i Sobota są takie miasta, jako i inne, w których się jarmarki jesienne na konie odbywają. Nie wierzysz, to się pana starosty spytaj, który musi o nich wiedzieć.

— Jakże! — rzekł Rzędzian,

Na to Butrym:

—■ Kiedy tak, to co innego. Ale poco wam do onych miast jechać? Możecie i w Szczuczynie koni zbyć, bo nam siła nie staje, a te, cośmy w Pilwiszkach zagarnęli, na nic, bo wszystko odsednione [1].

— Każdy tam jedzie, gdzie mu lepiej, a my swoją drogę znamy — odpowiedział Kmicic.

— Nie wiem, gdzie waści lepiej, ale nam nie lepiej, byś Szwedom koni doprowadzał i z językiem do nich jeździł.

-— Dziwne mi to — rzekł dzierżawca z Wąsoszy. — Ci ludzie na Szwedów wymyślają, a jakoś im pilno ku nim się przebrać?

Tu zwrócił się ku Kmicicowi:

— A waćpan też mi niebardzo do koniucliy podobny, bo i pierścień zacny na ręku widziałem, któregoby się niejeden pan nie powstydził...

— Jeśli się waszmości tak udał, to go ode mnie kup, bo ja dwie orty za niego w Łęgu zapłacił — odpowiedział Kmicic.

— Dwie orty?... To chyba nie szczery, ale przednio udany... Pokaż waść!

— Weź, wasza mość.

— A sam to się nie możesz ruszyć?... Ja mam chodzić?

— Bom się okrutnie strudził.

— Ej, bratku! rzekłby kto, że oblicze chcesz ukryć!

---

[1] z odparzoną od siodła skórą.

Słysząc to Józwa, nie rzekł ani słowa, jeno zbliżył się do komina, wyciągnął palącą się głownię, i trzymając ją wysoko nad głową, poszedł wprost do Kmicica i zaświecił mu w oczy.

Kmicic podniósł się w jednej chwili na całą wysokość, i przez jedno mgnienie powieki patrzyli sobie oko w oko, — nagle głownia wypadła z rąk Józwy, rozsypując tysiące skier po drodze.

---- Jezus Marja! — zakrzyknął Butrym — to Kmicic...

— Jam jest! — odrzekł pan Andrzej, widząc, że niema dłużej sposobu ukryć się.

Lecz Józwa zaczął krzyczeć na żołnierzy, którzy zostali przed sienią:

— Bywaj! bywaj! trzymaj!

Poczem zwrócił się do pana Andrzeja:

— Tyżeś to piekielniku, zdrajco?! Tyżeś to djable wcielony?! Raz się wymknąłeś z moich rąk, a teraz do Szwedów w przebraniu dążysz? Tyżeś to Judaszu, kacie męża i niewiasty? mam cię!

To rzekłszy, chwycił za kark pana Andrzeja, a pan Andrzej chwycił jego; lecz poprzednio już dwaj młodzi Kiemlicze, Kosma i Damjan, podnieśli się z ławy, sięgając rozczocliranemi głowami aż do pułapu, i Kosma spytał:

— Ociec, prać?

— Prać! — odrzekł stary Kiemlicz, dobywając szabli.

Wtem drzwi pękły i żołnierze Józwy zwalili się do izby; ale tuż za nimi, prawie na ich karkach, wjechała czeladź Kiemliczów.

Józwa chwycił lewą ręką za kark pana Andrzeja, a w prawej trzymał już goły rapier, czyniąc nim wokoło siebie wicher i błyskawice. Lecz pan Andrzej, choć tak olbrzymiej siły nie posiadał, chwycił go także jakby kleszczami za gardziel. Józwie oczy wylazły nawierzch, rękojeścią swego rapiera chciał strzaskać Kmicicową rękę, i nie zdążył, bo go wpierw Kmicic głownią swej szabli w czuprynę gruchnął. Palce Józwy, trzymające kark przeciwnika, otworzyły się odrazu, a sam zachwiał się i wtył przeważył pod ciosem. Kmicic popchnął go jeszcze, by mieć do cięcia pole, i całym rozmachem przez pysk szablą go chlasnął. Józwa padł nawznak, jak dąb, czaszką uderzywszy o podłogę.

— Bij! — krzyknął Kmicic, w którym odrazu rozbudził się dawny zabijaka.

Lecz nie potrzebował zachęcać, bo w izbie gotowało się, jak w garnku. Dwaj młodzi Kiemlicze siekli szablami, a czasem bodli łbami, jak dwa byki, kładąc za każdem uderzeniem człeka na ziemię; tuż za nimi następował stary, przykucając co chwila aż do ziemi, przymrużając oczy i przesuwając co chwila sztych szabli pod ramionami synów.

Lecz Soroka, przywykły do bitew po karczmach i w ciasnocie, szerzył najwięcej zni-

szczenią. Przypierał on tak zbliska przeciwników, że ostrzem nie mogli go dosięgnąć, i wystrzeliwszy uprzednio w tłum piątolety, tłukł teraz po głowach ich rękojeściami, miażdżąc nosy, wybijając zęby i oczy. Czeladź Kiemliczów i dwaj Kmicicowi żołnierze szli w pomoc panom.

Zawierucha przewaliła się od stołu w drugi koniec izby. Laudańscy bronili się z wściekłością, lecz od chwili, w której Kmicic, obaliwszy Józwę, skoczył w ukrop i zaraz rozciągnął drugiego Butryma, zwycięstwo poczęło się przechylać na jego stronę.

Rzędzianowa czeladź wpadła również do izby z szablami i szturmakami 1, ale choć Rzędzian krzyczał: „Bij!“ — nie wiedziała, co czynić, nie mogąc przeciwników rozeznać, bo laudańscy nie nosili żadnych mundurów. To też w zamieszaniu obrywało się starościńskim parobkom od jednych i od drugich.

Rzędżian trzymał się ostrożnie poza walką, pragnąc rozeznać Kmicica i wskazać go do strzału, ale przy slabem świetle łuczywa Kmicic ustawicznie ginął mu z oczu; to zjawiał się znów jak djabeł czerwony, to znów ginął w pomroce.

Opór ze strony laudańskich słabł z każdą chwilą, bo odjął im serce upadek Józwy

---

[1] strzelbami o rozszerzonych wylotach luf.

i straszliwe imię Kmicica. Lecz walczyli z zaciekłością. Tymczasem karczmarz przesunął się cicho wedle walczących z wiadrem wody w ręku i chlusnął na ogień. W izbie nastała ciemność zupełna; walczący zbili się w kupę tak ciasną, że jeno pięściami mogli się grzmocić; przez chwilę krzyki ustały, słychać było tylko zdyszane oddechy i bezładny tupot butów. Wtem przez drzwi wywalone uskoczyli naprzód Rzędzianowi, za nimi laudańscy, za nimi Kmicicowi.

Rozpoczął się pościg w sieni, w pokrzywach przed sienią, i w szopie. Rozległo się kilka strzałów, następnie wrzaski i kwik koni. Zawrzała bitwa przy Rzędzianowych wozach, pod które jego czeladź się schroniła; laudańscy szukali również pod niemi ucieczki, i wówczas to właśnie parobcy, biorąc ich za napastników, dali kilkakroć do nich ognia.

— Poddajcie się! — krzyczał stary Kiemlicz, zapuszczając ostrze swej szabli między szprychy woza i bodąc naoślep ukrytych pod nim ludzi.

— Stój! poddajem się! — odpowiedziało kilka głosów.

I wnet czeladź z Wąsoszy poczęła wyrzucać z pod wozu szable i szturmaki, następnie samych wyciągali za łeb młodzi Kiemlicze, aż stary zakrzyknął:

— Do wozów! Brać, co w ręce wpadnie! Żywo! żywo! do wozów!

Młodzi nie dali sobie trzeci raz rozkazu powtórzyć i rzucili się do odpinania opony, z pod której łuby Rzędzianowe ukazywały wypukłe boki. Już poczęli i łuby wyrzucać, gdy nagle zabrzmiał głos Kmicica:

— Stój!

I Kmicic, popierając ręką rozkaz, począł ich płazować krwawą szablą.

Kostna i Damjan uskoczyli pośpiesznie nabok.

— Wasza miłość!... nie można? — pytał pokornie stary.

— Wara! — krzyknął Kmicic. — Szukaj mi starosty!

Kopnęli się tedy w mig Kosma i Damjan, a za nimi ojciec, i po kwadransie ukazali się znowu, prowadząc Rzędziana, który, ujrzawszy Kmicica, skłonił się nisko i rzekł:

— Z przeproszeniem waszej miłości, krzywda mi się tu dzieje, bo ja z nikim wojny nie szukał, a że znajomych jadę odwiedzić, to wolno każdemu...

Kmicic, wsparty na szabli, oddychał ciężko i milczał, więc Rzędzian mówił dalej:

— Ja tam ni Szwedom, ni księciu hetmanowi żadnej szkody nie uczynił, jenom do pana Wołodyjowskiego jechał, bo stary mój znajomy i na Rusi my razem wojowali... A poco mnie guza szukać!? Nie byłem w Kiejdanach i nic mi do tego, co tam było... Ja patrzę, bym skórę całą wywiózł i żeby to, co

mi Bóg dał, nie przepadło... Bom tego też nie ukradł, ale w pocie czoła zarobił... Nic mnie do całej tej sprawy! Niech mnie wasza wielmożność pozwoli wolno jechać...

Kmicic oddychał ciężko, patrząc wciąż jakby z roztargnieniem na Rzędziana.

— Proszę pokornie waszej wielmożności — zaczął znów starosta. — Wasza wielmożność widziała, że ja tych ludzi nie znał i przyjacielem im nie byłem. Napadli na waszą miłość, to mają za swoje, ale .zaco ja mam cierpieć, zaco moje ma przepadać? Com ja zawinił? Jeżeli nie może inaczej być, to ja żołnierzom waszej wielmożności wykupię się, choć mnie ubogiego człeka na wiele nie stać... Po talarze im dam, żeby im fatyga na darmo nie wyszła... Dam i po dwa... a wasza wielmożność przyjmie też ode mnie...

— Zakryć te wozy! — krzyknął nagle Kmicic, — a waszeć bierz rannych i jedź do djabła!

— Dziękuję pokornie jegomości — rzeki pan dzierżawca z Wąsoszy.

Wtem zbliżył się stary Kiemlicz, wysuwając naprzód dolną wargę z resztkami zębów i jęcząc:

— Wasza miłość... to nasze... Zwierciadło sprawiedliwości... to nasze...

Lecz Kmicic spojrzał na niego tak, że stary skurczył się aż do ziemi i nie śmiał wymówić ni słowa.

Czeladź Rzędzianowa rzuciła się konie co duchu do wozów zakładać, Kmicic zaś zwrócił się znów do pana starosty:

— Bierz tycli wszystkich rannych i zabitych, którzy się znajdą, odwieź ich panu Wołodyjowskiemu i powiedz mu ode mnie, żem mu nie wróg, a może i lepszy przyjaciel niż myśli... Alem go chciał minąć, bo nie teraz jeszcze pora, abyśiny się spotkali. Może później przyjdzie ten czas, ale dziś, ani onby nie uwierzył, ani ja nie miałbym go czem przekonać... Może później... Uważaj waćpan! Powiedz mu, że ci ludzie mnie napadli i że inusiałem się bronić.

—- Po sprawiedliwości tak i było — rzekł Rzędzian.

— Czekaj... Powiedz jeszcze panu Wołodyjowskiemu, żeby się kupy trzymali, że Radziwiłł, niech jeno się jazdy od Pontusa doczeka, to wnet ruszy na nich. Może już jest w drodze. Obaj z księciem koniuszym i elektorem praktykują i, i blisko granicy niebezpiecznie stać. A przedewszystkiem niech się kupy trzymają, bo poginą marnie. Wojewoda witebski chce się na Podlasie przedrzeć... Niech mu idą naprzeciw, aby w razie przeszkody dać pomoc.

— Wszystko powiem, jakoby mi za to płacono.

[1] spiski knuję, zmawiają się

— Clioć to Kmicic mówi, choć Kmicic ostrzega, niechże mu wierzą, niech się poradzą z innymi pułkownikami i zastanowią, że w kupie będą mocniejsi. Powtarzam, że hetman już w drodze, a ja panu Wołodyjowskiemu nie wróg.

— Żeby ja to miał jaki znak od waszej miłości, toby lepiej jeszcze było — rzekł Rzędzian.

— Poco ci znaku?

— Bo i pan Wołodyjowski zarazby lepiej w szczerość afektu waszej miłości uwierzył, i takby pomyślał, że musi być coś w tern, jeśli znak przysyła.

— To masz ten sygnet, —■ rzekł Kmicic, — chociaż znaków po mnie nie brak na łbach u tych ludzi, których panu Wołodyjowskiemu odwieziesz.

To rzekłszy, zdjął pierścień z palca. Rzędzian zaś przyjął go skwapliwie i rzekł:

—■ Dziękuję pokornie jegomości.

W godzinę później, Rzędzian wraz ze swemi wozami, czeladzią, trochę jeno poturbowaną, jechał spokojnie ku Szczuczynowi, odwożąc trzech zabitych i resztę rannych, między którymi Józwę Butryma z przeciętą twarzą i rozbitą głową. Jadąc, spoglądał na pierścień, którego kamień cudnie błyszczał przy księżycu, i rozmyślał o tym dziwnym i strasznym człowieku, który tyle złego sprawiwszy konfederatom, a tyle dobrego Szwedom

i Radziwiłłowi, cliciał jednak widocznie ratować konfederatów od ostatniej zaguby.

— Bo to, co radził, to szczerze — mówił do siebie Rzędzian. — Kupy zawsze się lepiej trzymać. Ale czemu ostrzega? Chyba z afektu dla pana Wołodyjowskiego, że go to zdrowiem w Billewiczacli udarował. Chyba z afektu! Ba, aleć księciu hetmanowi na złe może wyjść ten afekt. Dziwny to człek, Radziwiłłowi służy, a naszym ludziom życzy... I do Szwedów jedzie... Tego ja nie rozumiem...

Po chwili zaś dodał:

— Hojny pan... Jeno źle mu w drogę włazić.

Równie ciężko i równie bezskutecznie jak Rzędzian, łamał sobie głowę stary Kiemlicz, pragnąc znaleźć odpowiedź na pytanie: Komu pan Kmicic służy?

— Do króla jedzie, a konfederatów bije, którzy właśnie przy królu stoją. Co to jest? I Szwedom nie ufa, bo się kryje... Co z nami będzie?

Tu, nie mogąc dojść do żadnej konkluzji 1, zwrócił się ze złości ku synom:

— Szelmy! Bez błogosławieństwa pozdychacie! A nie mogliście choć tamtych pobitych obmacać?

— Balim się! — odpowiedział Kosma i Damjan.

---

[1] wniosku, wyniku.

Jeden Soroka był zadowolony i człapał wesoło tuż za swym pułkownikiem.

— Już nas zły urok minął, — myślał, — skorośmy tamtych pobili. Ciekaw jestem, kogo teraz będziemy bili?

I było mu to wszystko jedno, również jak i to, gdzie jechał.

Do Kmicica nikt nie śmiał przystąpić, ani pytać go o cokolwiek, bo młody pułkownik jechał chmurny jak noc. I gryzł się strasznie, że tych ludzi rnusiał pobić, obok których radby w szeregu jak najprędzej stać. Lecz gdyby nawet poddał się i pozwolił odprowadzić do parni Wołodyjowskiego, coby pomyślał pan Wołodyjowski, gdyby się dowiedział, że schwytano go przebierającego się pod zmienioną postacią ku Szwedom i z glejtami do szwedzkich komendantów.

— Stare grzechy mnie ścigają i prześladują... — mówił sobie Kmicic. — Ucieknę jak najdalej, a Ty Boże mnie prowadź...

I począł się modlić żarliwie i opędzać sumieniu, które powtarzało mu:

— Znów trupy za tobą, i nie szwedzkie...

—- Boże bądź miłościwi... — odpowiadał Kmicic, — jadę do pana mego, tam mi się służba rozpocznie...

ROZDZIAŁ VI.

Rzędzian nie miał zamiaru zostawać na noc w Pokrzyku, bo z Wąsoszy do Szczuczyna było niedaleko — pragnął więc tylko dać wytchnienie koniom, zwłaszcza tym, które wozy ładowne ciągnęły. Gdy więc Kmicic pozwolił mu jechać dalej, nie tracił Rzędzian czasu i w godzinę później wjeżdżał już do Szczuczyna, późną nocą, i opowiedziawszy się strażom, roztasował się w rynku, bo domy były przez żołnierzy pozajmowane, którzy i tak nie wszyscy mogli się pomieścić. Ów Szczuczyn uchodził za miasto, ale niem nie był rzeczywiście, nie miał albowiem jeszcze ani wałów, ani ratusza, ani sądów, ani kolegjum [1] pi jarskiego, które dopiero za czasów króla Jana III powstało, a domów szczupło — i więcej chałup, niż domów, które dlatego tylko miastem się zwały, że w kwadrat były pobudowane, tworząc rynek, niewiele zresztą mniej błotnisty od stawu, nad którym mieścina leżała.

Przespawszy się pod ciepłą wilczurą, doczekał Rzędzian ranka i zaraz udał się do pana Wołodyjowskiego, który, nie widziawszy go od wieków, przyjął radośnie i zaraz poprowadził do kwatery panów Skrzetuskich i pana Zagłoby. Rozpłakał się aż Rzędzian

---

[1] szkoły.

liii widok dawnego pana, któremu tyle lat służąc wiernie, tyle przygód razem z nim przebył i fortuny się wkońcu dorobił. Nie wstydząc się więc dawnej służby, począł po rękach pana Jana całować i powtarzać z rozrzewnieniem:

— Mój jegomość... mój jegomość... W jakich to czasach my się znów spotykamy!...

Jęli tedy razem wszyscy na czasy narzekać — wreszcie pan Zagłoba rzekł:

— Ale ty, Rzędzian, zawsze u fortuny za pazuchą siedzisz i, jako widzę, na pana wyszedłeś. Pamiętasz, azalim ci nie prorokował, że jeżeli cię nie powieszą, to będzie z ciebie pociecha!... Cóż się teraz z tobą dzieje?

— Mój jegomość, zaco mnie mieli wieszać, kiedy ja ani przeciw Bogu, ani przeciw prawu nic nie uczynił. Służyłem wiernie, a jeżelim kogo zdradził, to chyba nieprzyjaciół, co sobie jeszcze za zasługę poczytuję. A żem tu i owdzie jakiego hultaja fortelem starł, jako to z rebelizantów, albo oną czarownicę — pamięta jegomość? — to też nie grzech, a choćby był grzech, to jegomościn, nie mój, bom ja się właśnie od jegomości fortelów wyuczył.

— O, nie może być!... Patrzajcie go! —• rzekł Zagłoba. — Jeżeli chcesz, bym ja za twoje grzechy po śmierci wył, to mi za życia fructa ich oddaj. Sam-że używasz onych wszystkich bogactw, któreś między Kozakami

zebrał, i samegoć za to w piekle na skwarki przetopią!

— Bóg łaskaw, mój jegomość, chociaż to jest nieprawda, żebym sam używał, bo ja naprzód złych sąsiadów zeszczętem sprocesowałem i rodzicieli opatrzyłem, którzy teraz spokojnie w Rzędzianach siedzą, żadnej dyferencji już nie mając, bo Jaworscy z torbami poszli, a ja się opodal dorabiam, jak mogę.

— To nie mieszkasz już w Rzędzianach? — pytał pan Jan Skrzetuski.

— W Rzędzianach rodziciele po dawnemu żywią i, a ja mieszkam w Wąsoszy, i nie mogę się skarżyć, bo Bóg mi błogosławił. Ale jakem usłyszał, że waszmościowie w Szczuczynie jesteście, jużem nie mógł dosiedzieć, bom sobie pomyślał: widać czas się znowu ruszyć! Ma być wojna, to niech będzie!

— Przyznajże się, — rzekł Zagłoba, — że cię Szwedzi z Wąsoszy wystraszyli...

— Szwedów[7] jeszcze w ziemi widzkiej niemasz, chyba podjazdki małe zachodzą, i to ostrożnie, bo chłopstwo na nich okrutnie zawzięte.

— To mi dobrą nowinę przynosisz, — rzekł Wołodyjowski, — gdyż ja wczoraj umyślnie podjazd wysłałem, aby języka o Szwedach zasięgnąć, bom nie wiedział, czy można bezpiecznie w Szczuczynie popasać. Pewnie cię ten podjazd tu przyprowadził?

---

[1] żyją-

— Ten podjazd? Mnie? To ja jego przyprowadził, a raczej przywiózł, bo tam i jednego człowieka między tymi ludźmi niemasz, któryby o własnej mocy na koniu mógł usiedzieć!

— Jakże to?... Co zaś prawisz?... Cóż się stało? — pytał Wołodyjowski.

— Bo ich okrutnie pobito — objaśnił Rzędzian.

— Kto ich pobił? !

— Pan Kmicic.

Panowie Skrzetuscy i Zagłoba aż porwali się z ław, pytając jeden przez drugiego:

— Pan Kmicic? A coby on tu robił?... Czyliby sam książę hetman już tu przyciągnął? Nuże! Powiadaj wraz, co się stało?

Lecz pan Wołodyjowski wypadł tymczasem z izby, chcąc widać naocznie sprawdzić rozmiary klęski i ludzi obejrzeć; więc Rzędzian rzekł:

— A poco mam opowiadać, lepiej poczekać, aż pan Wołodyjowski wróci, bo to najwięcej jego sprawa, a szkoda gęby dwa razy jedno powtarzać.

— Widział-żeś Kmicica na własne oczy? — pytał pan Zagłoba.

— Jako jegomości widzę!

— I gadałeś z nim?

— Jakżem nie miał gadać, kiedy my się w Pokrzyku, niedaleko stąd, zjechali; ja koniom wypoczywałem, a on na nocleg stał.

Mało godzinę gadaliśmy, bo nie było co innego robić. Ja narzekałem na Szwedów, a on też narzekał...

— Na Szwedów? On także narzekał? — pytał Skrzetuski.

— Jak na djabłów, choć między nich jechał.

— Siła było wojska z nim?

— Żadnego z nim wojska nie było, ino czeladzi kilku, prawda, że zbrojnych i z takiemi mordami, że już chyba i ci, którzy świętych młodzianków za Herodowym ordynansem wycinali, sroższych i szpetniejszych nie mieli. Powiadał mi się chodaczkowym szlachcicem i mówił, że z końmi na jarmarki jedzie. Ale choć koni mieli kilkanaście w tabunku, przecie mi się to nie wydało, bo to i osoba inna, i fantazja nie taka jak u koniuchów, i pierścień zacny na ręku widziałem... Ten właśnie!

Tu błysnął Rzędzian przed oczy słuchaczom kosztownym kamieniem, a pan Zagłoba uderzył się po pole i zakrzyknął:

— Już go od niego wycyganił! Po tern jednem poznałbym cię, Rzędzian, na końcu świata!

— Z przeproszeniem jegomości, nie cyganiłem, bom też szlachcic, do równości się z każdym poczuwający, nie cygan, chociaż dzierżawami chodzę, póki Bóg nie da osiąść na swojem. A ten pierścień dał mi pan Kmicic na znak, że to, co mówił, to prawda, a ja

zaraz waszmościom słowa jego wiernie powtórzę, bo widzi mi się, że tu o skóry nasze chodzi.

— Jakto? — pytał Zagłoba.

Wtem wszedł pan Wołodyjowski, cały wzburzony i od gniewu blady, czapką o stół rzucił i zawołał:

— To przechodzi imaginację! Trzech ludzi zabitych, Józwa Butrym usieczony, ledwie tchnie!

— Józwa Butrym?... Toż to człowiek niedźwiedziej siły! — rzekł zdumiony Zagłoba.

— Jego w moich oczach sam pan Kmicic rozciągnął — wtrącił Rzędzian.

•— A dość mi tego pana Kmicica! — mówił w uniesieniu Wołodyjowski; — gdzie się tylko ten człowiek pokaże, trupy za sobą jak mór zostawuje. Dość tego! Kwit za kwit, gardło za gardło... Ale teraz nowy rachunek... Ludzi mi napsuł, dobrych pachołków napadł!... To mu się do pierwszego widzenia zakarbuje...

— Jużci, coprawda, to nie on ich napadł, tylko oni jego, bo on w najciemniejszy kąt się zaszył, aby go nie poznali — rzekł Rzędzian.

— A ty, zamiast coś miał moim pomagać, to jeszcze za nim świadczysz! — rzekł z gniewem pan Wołodyjowski.

— Ja po sprawiedliwości... A co do pomocy, chcieli moi pomagać, jeno niezręcznie

im było, bo w tumulcie nie wiedzieli, kogo bić, kogo oszczędzić, i samym się przez to dostało. Żem z duszą i łubami uszedł, to jeno przez pana Kmicica wyrozumiałość, bo posłuchajcie waszmościowie, jak co się przytrafiło.

Tu Rzędzian począł opisywać szczegółowo bitkę w Pokrzyku, niczego nie opuścił, a gdy wreszcie powiedział i to, co mu Kmicic powiedzieć rozkazał, zdumieli się okrutnie towarzysze.

— On-że sam to mówił? — pytał Zagłoba.

— Sam — odrzekł Rzędzian. — „Ja (powiada) panu Wołodyjowskiemu ani konfederatom nie wróg, clioć inaczej myślą. Później to się pokaże, a tymczasem niech się kupy, na miły Bóg, trzymają, bo ich wojewoda wileński jako raki ze saka wybierze“.

— I powiedział, że wojewoda już w pochodzie? — pytał Jan Skrzetuski.

— Mówił jeno, że tylko na posiłki szwedzkie czeka i że zaraz na Podlasie ruszy.

— Co waćpanowie o tem wszystkiem myślicie? — pytał Wołodyjowski, spoglądając na towarzyszów.

— Zadziwiająca rzecz! — odpowiedział Zagłoba. — Albo ten człowiek Radziwiłła zdradza, albo nam jakąś zasadzkę gotuje. Ale jaką? Radzi się kupy trzymać, — co może za szkoda stąd dla nas wyniknąć?

— Że głodem zniszczejem — odrzekł Wołodyjowski. — Właśnie mam wiadomość, że

i Żeromski i Kotowski i Lipnicki mają rozdzielić chorągwie po kilkadziesiąt koni, i po calem województwie rozłożyć, bo w kupie nie mogą się wyżywić.

—■ A jeśli Radziwiłł istotnie nadejdzie? — pytał Stanisław Skrzetuski — to kto mu się wówczas oprze?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, bo rzeczywiście było jasnem jak słońce, że gdyby hetman wielki litewski nadciągnął i zastał siły konfederackie rozproszone, tedyby poznosił je z największą łatwością.

— Zadziwiająca rzecz! — powtórzył Zagłoba.

I po chwili milczenia mówił dalej:

— Wszelako Kmicic okazał już, że nam szczerze życzliwy. Pomyślałbym, że może Radziwiłła porzucił... Ale w takim razie nie przemykałby się w przebraniu, i to dokąd? — do Szwedów...

Tu zwrócił się do Rzędziana:

— Wszakże ci mówił, że na Warszawę jedzie?

-— Tak jest! — rzekł Rzędzian.

— No, to tam już moc szwedzka.

— Ba! Już o tej godzinie rnusiał Szwedów napotkać, jeżeli całą noc jechał — odpowiedział Rzędzian.

— Widzieliście kiedy takiego człowieka? — pytał Zagłoba, poglądając na towarzyszów.

— Że w nim jest złe z dobrem pomieszane,

jak plewy z ziarnem, to pewna, — rzekł Jan Skrzetuski, — ale żeby w tej radzie, jaką nam teraz daje, była jakowa zdrada, temu wprost neguję. Nie wiem, dokąd jedzie, dlaczego się w przebraniu przemyka, i próżnobym głowę nad tern łamał, bo to jakowaś tajemnica... Ale radzi dobrze, ostrzega szczerze, na to przysięgnę, jak również i na to, że jedyny dla nas ratunek tej rady usłuchać. Kto wie, czy mu znów zdrowia i życia nie zawdzięczamy.

— Dla Boga! — zakrzyknął Wołodyjowski — jakże Radziwiłł ma tu przyjść, kiedy mu na drodze stoją Zołtareńkowi i piechota Cliowańskiego. Co innego my! Jedna chorągiew się prześliźnie, a i to w Pilwiszkach musieliśmy sobie szablami drogę otwierać. Co innego Kmicic, który w kilku ludzi się przemykał, — ale książę hetman jak przejdzie z całem wojskiem? Chyba tamtych wprzód zniesie...

Jeszcze nie skończył mówić pan Wołodyjowski, gdy drzwi się otworzyły i wszedł pachołek służbowy.

— Posłaniec z listem do pana pułkownika — rzekł.

— Dawaj go sam! — odrzekł Wołodyjowski.

Pachołek wyszedł, i po chwili wrócił z listem. Pan Michał prędko złamał pieczęć i począł czytać:

„Czegom wczoraj nie dopowiedział dzierżawcy z Wąsoszy, to dziś dopisuję. Hetman i sam wojska ma na was dosyć, ale umyślnie na posiłki szwedzkie czeka, aby pod powagą króla szwedzkiego na was iść. Bo gdyby go Septentrjonowie [1] wówczas zaczepili, tedyby musieli i na Szwedów uderzyć, a toby znaczyło wojnę z królem szwedzkim. Czego oni nie będą śmieli uczynić, nie mając rozkazów, bo się Szweda boją i odpowiedzialności za rozpoczęcie wojny na się nie wezmą. Poznali się już na tern, że Radziwiłł wszędy umyślnie Szwedów im chce nadstawiać; niechby choć jednego ustrzelili, albo usiekli, zarazby wojna była. Sami teraz Septentrjonowie nie wiedzą, co czynić, gdy Litwa Szwedom poddana; stoją więc w miejscu, czekając jeno, co będzie, i dalej nie wojując. Dla tych przyczyn i Radziwiłła nie powstrzymają, ani mu wstrętu nie uczynią, który prosto na was pójdzie i będzie pokolei znosił, jeśli się w kupę nie zbierzecie. Na Boga! uczyńcie to, i pilno wojewodę witebskiego do się zapraszajcie, bo i jemu teraz do was przez Septentrjonów łatwiej, dopóki jako ogłupieli stoją. Chciałem was przestrzec pod innem nazwiskiem, byście łatwiej uwierzyli, ale że się już wydało, od kogo wiadomość, tedy swoje podpisuję. Zguba, jeśli nie uwierzycie, bo i ja już nie ten, co byłem,

[1] mieszkańcy północy, t. j. Moskale.

a da Bóg całkiem inaczej jeszcze o mnie usłyszycie. — K m i c i c.“

— Chciałeś wiedzieć, jak Radziwiłł przyjdzie do nas, ot, masz odpowiedź! — rzekł Jan Skrzetuski.

— Prawda jest... Dobre racje daje! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Co to dobre?! święte racje! — zawołał Zagłoba. — Tu nie może być wątpliwości. J am się pierwszy na tym człowieku poznał, i choć niema przekleństwa, któregoby nad jego głową nie miotano, ja wam powiadam, że jeszcze go będziem błogosławić. U mnie dość na człeka spojrzeć, żeby wiedzieć, co wart. A pamiętacie, jako mi do serca przypadł w Kiejdanach? Sam on też nas kocha, jako ludzi rycerskich, a gdy moje nazwisko pierwszy raz usłyszał, to mnie mało nie udusił iz admiracji, i przeze mnie wszystkich was ocalił.

— Jegomość to się nic nie zmienił — zauważył Rzędzian; — czegóżby to pan Kmicic miał więcej jegomości od mego pana, albo od pana Wołodyjowskiego admirować?

— Głupiś! — odpowiedział Zagłoba. — Na tobie odrazu się poznał, i jeżeli cię zowie dzierżawcą, nie kpem, z Wąsoszy, to jeno przez politykę!

— To może i jegomości przez politykę admirował? — odparł Rzędzian.

— Obacz, jak chleb bodzie! ożeń się, panie

dzierżawco, a będziesz jeszcze lepiej bódł... Ja w tem!

— Wszystko to dobre, — rzekł Wołodyjowski, — ale jeśli on tak szczerze nam życzy, to czemu sam do nas nie przyjechał, zamiast się jako wilk koło nas przemykać i ludzi nam kąsać?

-— Nie twoja głowa, panie Michale — odpowiedział Zagłoba. — Co my uradzimy, to ty rób, a źle na tem nie wyjdziesz. Żeby twój dowcip wart był twojej szabli, tobyś już hetmanem wielkim na miejscu pana Rewery Potockiego był. A poco Kmicic miał tu przyjeżdżać?... Czy nie poto, żebyś mu tak samo nie wierzył, jak pismu jego nie wierzysz, z czegoby zaraz i do wielkiej kłótni dojść mogło, bo to zadzierżysty kawaler? A dajmy, żebyś ty uwierzył, to coby rzekli inni pułkownicy, jako Kotowski, Żeromski, albo Lipnicki?... Coby rzekli twoi ludzie laudańscy? czyby go nie usiekli, gdybyś tylko głowę odwrócił?

— Ojciec ma rację, — rzekł Jan Skrzetuski, — on tu nie mógł przyjechać.

— To czego do Szwedów jedzie? — powtórzył uparty pan Michał.

— Djabeł go wie, czy do Szwedów, djabeł wie, co w tę szaloną pałkę mogło strzelić! Nic nam do tego, my oto z ostrzeżenia korzystajmy, jeśli głowy chcemy unieść.

— Tu niema się co i namyślać — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Trzeba co prędzej zawiadomić Kotowskiego, Żeromskiego, Lipnickiego i tego drugiego Kmicica — mówił Jan Skrzetuski. — Wyślij do nich, Michale, co prędzej wieści, ale nie pisz im, kto ostrzega, bo z pewnościąby nie uwierzyli.

— My jedni będziemy wiedzieli, czyja zasługa, i w swoim czasie nie omieszkamy jej promulgować! — zakrzyknął Zagłoba. — Dalej, żywo, Michale!

— A sami pod Białystok ruszymy, wszystkim tam zbór [1] naznaczywszy. Dałby Bóg wojewodę witebskiego jak najprędzej! — rzekł Jan.

— Z Białegostoku trzeba będzie do niego deputatów od wojska wysłać. Da Bóg, staniemy do oczu panu hetmanowi litewskiemu — mówił Zagłoba — w równej, albo i lepszej sile. Nam się na niego nie porywać, ale pan wojewoda witebski, to co innego. A zacnyż to pan! a cnotliwy! niemasz takiego drugiego w Rzeczypospolitej!

— Jegomość znasz pana Sapiehę? — pytał Stanisław Skrzetuski.

— Czy znam? Znałem go pachołkiem, nie większym od mojej szabli. Ale już był jako anioł.

— Toż on teraz nietylko majętności, nietylko srebra i klejnoty, ale ponoś i skówki

[1] miejsce zborne.

na rzędzikach [1] na pieniądze przetopił, byle jak najwięcej wojska przeciw nieprzyjaciołom ojczyzny zaciągnąć — rzekł pan Wołodyjowski.

— Dzięki Bogu, że choć taki jeden jest, — odrzekł Stanisław, — bo pamiętacie, jakeśmy to i Radziwiłłowi ufali?

— Bluźnisz waść! — krzyknął Zagłoba. — Wojewoda witebski! ba! ba! Niech żyje wojewoda witebski!... A ty, Michale, do ekspedycji! [2] żywo do ekspedycji! Niechże tu piskorze w tern błocie szczuczyńskiem zostają, a my pójdziemy do Białegostoku, gdzie może i innych ryb dostaniem... Chały [3] też tam bardzo przednie żydzi na szabas wypiekają. No! przynajmniej wojna się rozpocznie. Bo mi już tęskno... A kiedy Radziwiłłem przetrącim, to się i do Szwedów weźmiem. Pokazaliśmy im już, co umiemy!... Do ekspedycji, Michale, bo periculum in mora.

— A ja pójdę podnieść na nogi chorągiew! — rzekł pan Jan.

I w godzinę później kilkunastu posłańców wylatywało, co koń wyskoczy, ku Podlasiowi, a za nimi wkrótce ruszyła cała chorągiew laudańska. Starszyzna jechała na przedzie, naradzając się i dyskutując, a żołnierzy prowadził pan Roch Kowalski, namiestnik. Szli na Osowiec i Goniądz, prostując sobie drogę ku Bia-

---

[1] okucia na ozdobnych uprzężach koni wierzchowych. [2] tu: rozesłania listów. [3] bułki.

łemustokowi, gdzie się innych konfederackich chorągwi spodziewali.

ROZDZIAŁ VII.

Listy pana Wołodyjowskiego, donoszące o pochodzie Radziwiłła, znalazły posłuch u wszystkich pułkowników, rozproszonych po całem województwie podlaskiem. Niektórzy już byli porozdzielali chorągwie na mniejsze oddziały, aby tem łatwiej przezimować, inni pozwolili rozjechać się towarzystwu po domach prywatnych, tak, że pod' znakami zaledwie kilkunastu towarzyszów i po kilkudziesięciu pocztowych zostało. Pułkownicy pozwolili na to poczęści z obawy przed głodem, a poczęści dla trudności utrzymania w należytej dyscyplinie chorągwi, które raz wypowiedziawszy właściwej władzy posłuszeństwo, skłonne teraz były do opozycji i względem swych przywódców, z lada powodu. Gdyby był znalazł się dowódca należytej powagi i odrazu poprowadził je do boju przeciw któremukolwiek z dwóch nieprzyjaciół, albo nawet przeciw Radziwiłłowi, karność pozostałaby zapewne niewzruszoną; ale zepsuła się w próżnowaniu na Podlasiu, gdzie czas schodził na ostrzeliwaniu jeno radziwiłłowskich zameczków, na rabunku dóbr księcia wojewody i na paktowaniu z księciem Bogusławem. W tych warunkach żołnierz przyuczał się tylko do

swawoli i uciskania spokojnych mieszkańców województwa. Niektórzy żołnierze, zwłaszcza pocztowi i czeladź, zbiegłszy z pod chorągwi, potworzyli kupy swawolne i trudnili się rozbojem na gościńcach. I tak owo wojsko, które, nie połączywszy się z żadnym nieprzyjacielem, było jedyną nadzieją króla i patrjotów, marniało z dniem każdym. Podział chorągwi na drobne oddziały dopełnił rozprzężenia. Prawda, że w kupie trudno było się wyżywić, ale jednak może i umyślnie przesadzano obawy głodu, bo przecie była to jesień, a zbiory udały się szczęśliwie — zwłaszcza że żaden nieprzyjaciel nie zniszczył poprzednio ogniem i mieczem województwa. Zniszczyły je poniekąd właśnie rabunki konfederackich żołnierzy, tak, jak samych żołnierzy zniszczyła bezczynność.

Albowiem rzeczy tak się złożyły dziwnie, iż nieprzyjaciel zostawił w spokoju te chorągwie. Szwedzi, zalewając kraj od zachodu i ciągnąc na południe, nie doszli jeszcze do tego kąta, jaki między województwem mazowieckiem a Litwą tworzyło Podlasie, — z drugiej zaś strony zastępy Chowańskiego, Trubeckiego i Srebrnego [1] stały w pozajmowanych przez się okolicach bezczynnie, wahając się, a raczej same nie wiedząc, co począć. Na Rusi Buturlin z Chmielnickim rozpuszczali po

[1] wodza moskiewskiego.

dawnemu zagony i właśnie w tych czasach porazili pod Gródkiem garść wojska, której przywodził hetman wielki koronny, pan Potocki. Ale Litwa była pod protektoratem [1] szwedzkim. Pustoszyć i zajmować ją dalej, znaczyło to samo, jak słusznie zauważył w liście swym Kmicic, co wypowiadać wojnę straszliwym i wzbudzającym powszechną w świecie trwogę Szwedom. „Była tedy chwila folgi od Septentrjonów“ — i niektórzy doświadczeni ludzie przepowiadali nawet, że wkrótce zwrócą się oni, jako sprzymierzeńcy Jana Kazimierza i Rzeczypospolitej, przeciw królowi szwedzkiemu, którego potęga, gdyby panem całej Rzeczypospolitej został, nie miałaby równej w Europie.

Nie zaczepiał tedy Chowański ni Podlasia, ni skonfederowanych chorągwi, a one wzajem, pozbawione wodza, rozproszone, nie zaczepiały i nie były w sile zaczepić kogokolwiek lub przedsięwziąć coś ważniejszego nad rabunek dóbr radziwiłłowskich. Natomiast marniały. Jednakże listy pana Wołodyjowskiego o grożącym pochodzie Radziwiłła rozbudziły pułkowników z uśpienia i bezczynności. Poczęto ogarniać chorągwie, rozpisywać awizy [2], wzywające rozproszonych żołnierzy pod znaki i grożące karami tym, którzyby się nie stawili. Pierwszy Żeromski, najpoważniejszy między

---

[1] opiekę. [2] zawiadomienia.

pułkownikami i którego chorągiew w najlepszym była stanie, ruszył, nie omieszkując, pod Białystok; za nim przybył w tygodniu Jakób Kmicic, prawda, że tylko w sto dwadzieścia ludzi, — poczem zaczęli się ściągać żołnierze Kotowskiego i Lipnickiego, to pojedynczo, to gromadkami; szła także na ochotnika i drobna szlachta z okolicznych zaścianków, jako Zięcinkowie, Świderscy, Jaworscy, Rzędzianowie, Mazowieccy; przybywali wolentarjusze nawet z województwa lubelskiego, jako Karwowscy i Turowie; od czasu do czasu przybywał i zamożniejszy szlachcic z jakim takim pocztem sług dobrze zbrojnych. Wysłano deputatów od chorągwi do egzakcyj, którzy pieniądze i żywność za kwitami mieli wybierać, — słowem, ruch zapanował wszędy, zawrzały przygotowania wojenne, i gdy pan Wołodyjowski ze swą laudańską chorągwią nadciągnął, stało już kilka tysięcy ludzi pod bronią, którym tylko przywódcy brakowało.

Wszystko to było i dość bezładne, i dość niesforne, ale ani tak bezładne, ani tak niesforne, jak owa szlachta wielkopolska, która przed kilku miesiącami miała pod Ujściem Szwedom przeprawy bronić; albowiem owi Podlasianie, Lublinianie i Litwa byli to ludzie z wojną obyci, i nie było nawet między tymi ochotnikami ani jednego, prócz wyrostków, któryby prochu nie wąchał i z „tabakiery Gradywa nie zażywał“. Każdy w swojem życiu

czynił — to przeciw Kozakom, to przeciw Turkom, to przeciw Tatarom; byli tacy, którzy jeszcze szwedzkie wojny pamiętali. Nad wszystkimi zaś górował doświadczeniem wojennem i wymową pan Zagłoba, i rad się znalazł w tern zbiegowisku żołnierskiem, w którem o suchem gardle nie radzono.

Gasił więc powagą najpoważniejszych pułkowników. Laudańscy ludzie opowiadali, że gdyby nie on, tedyby Wołodyjowski, Skrzetuscy, Mirski i Oskierka zginęli z rąk radziwiłłowskich, bo już ich na stracenie do Birź wieziono. On sam zasług swych nie ukrywał i sprawiedliwość sobie zupełną oddawał, aby wszyscy wiedzieli, kogo mają przed sobą.

.— Nie lubię się chwalić, — mówił, — ani gadać ,o tern, czego nie było, bo u mnie prawda grunt, co może i mój siostrzan poświadczyć.

Tu zwracał się do pana Rocha Kowalskiego, który występował wówczas z za pleców pana Zagłoby i mówił dobitnym stentorowym głosem:

— Wuj... nie... łże!

I sapiąc, toczył oczyma po obecnych, jakby szukając zuchwalca, któryby mu śmiał zaprzeczyć.

Ale nikt nigdy nie przeczył, więc pan Zagłoba poczynał opowiadać o swych dawnych przewagach: jako jeszcze za życia pana Koniecpolskiego przyczynił się dwukrotnie do

zwycięstwa nad Gustawem Adolfem, jak potem Chmielnickiego splantował, co pod Zbarażem dokazywał, jako książę Jeremi na jego radach we wszystkiem polegał i jako mu prowadzenie wycieczek powierzał...

— A po każdej wycieczce, — mówił, — gdyśmy na pięć albo na dziesięć tysięcy hultajstwa napsuli, to Chmielnicki aż łbem z desperacji w ścianę trykał i powtarzał: „Nikt inny tego nie uczynił, tylko ten djabeł Zagłoba!“— a kiedy już do paktów Zborowskich przyszło, to chan sani jako dziwo mnie oglądał i o konterfekt upraszał, bo chciał go sułtanowi w prezencie posłać.

— Takich nam dziś trzeba, więcej niż kiedy! — powtarzali słuchacze.

A gdy wielu i bez tego o nadzwyczajnych czynach pana Zagłoby słyszało, o których wieści po całej Rzeczypospolitej chodziły, gdy i świeże wypadki w Kiejdanach, jako to: uwolnienie pułkowników i bitwa klawańska ze Szwedami, potwierdzały dawną opinję męża, sława jego rosła coraz bardziej, i chodził w niej pan Zagłoba jak w słońcu, wszystkim na oczach, nad innych promienisty i jasny.

— Gdyby takich tysiąc było w Rzeczypospolitej, nie przyszłoby do tego, co się zdarzyło! — powtarzano w obozie.

— Dziękujmy Bogu, że choć jednego mamy między sobą!

---- On-że pierwszy Radziwiłki zdrajcą zakrzyknął.

— I zacnych ludzi z jego rąk wyrwał, i po drodze Szwedów pod Klawanami tak poraził, że i świadek klęski nie uszedł.

— Pierwsze zwycięstwo on odniósł!

— Da Bóg i nie ostatnie!

Pułkownicy, jako Żeromski, Kotowski, Jakób Kmicic i Lipnicki, patrzyli także na Zagłobę z wielkim szacunkiem. Wydzierano go sobie z rąk do rąk i zasięgano jego rady we wszystkiem, podziwiając roztropność, prawie męstwu wyrównywającą.

A właśnie radzono teraz nad ważną sprawą. Wysłano wprawdzie deputatów do wojewody witebskiego, by przyjeżdżał objąć dowództwo, ale ponieważ nikt dobrze nie wiedział, gdzie w tej chwili pan wojewoda się znajduje, deputaci więc pojechali, i jakby w wodę wpadli. Były wieści, że ich Zołtareńkowe podjazdy ogarnęły, które zapuszczały się pod Wołkowysk, rabując na własną rękę.

Postanowili tedy pułkownicy pod Białymstokiem obrać tymczasowo regimentarza, któryby aż do przyjazdu pana Sapiehy rząd nad wszystkimi sprawował. Nie potrzeba mówić, że, z wyjątkiem pana Wołodyjowskiego, każdy pułkownik o sobie myślał.

Rozpoczęły się zabiegi i kaptowania. Wojsko oświadczyło, że chce mieć udział w wyborach, i to nie przez deputatów, ale w kole

jeneralnem[3], które wnet w tym celu złożono.

Wołodyjowski, po naradzie ze swymi towarzyszami, polecał mocno pana Żeromskiego, który był człowiek cnotliwy, poważny, a przytem imponował wojsku samą urodą i senatorską brodą w pas. Żołnierz przytem był biegły i doświadczony. Sam przez wdzięczność polecał pana Wołodyjowskiego, ale Kotowski, Lipnicki i Jakób Kmicic opierali się temu, twierdząc, że nie można najmłodszego wiekiem wybierać, bo regimentarz musi i przed obywatelstwem największą reprezentować powagę.

— A któż tu najstarszy? — zapytały liczne głosy.

— Wuj najstarszy! — zakrzyknął nagle pan Roch Kowalski tak gromkim głosem, że aż wszyscy zwrócili -głowy w jego stronę.

— Szkoda tylko, że chorągwi nie ma — rzekł pan Jachowicz, namiestnik Żeromskiego.

Lecz inni poczęli wołać:

— To i co z tego?! Czy to nam niewola pułkownika koniecznie obierać?... Zali to nie w mocy naszej? Zali nie in liberis suffragiis? Toż królem wolno każdego szlachcica obrać, nie dopiero regimentarzem...

Wtem pan Lipnicki, który niechętny był dla Żeromskiego i nie chciał, wszelkiemi

---

[1] zgromadzeniu pułkowników, rotmistrzów i rycerstwa.

sposobami, jego wyboru dopuścić, zabrał głos:

— Jako żywo! wolno waszmościom głosować, jak się podoba! A nie obierzecie pułkownika, to się i lepiej stanie, bo nie będzie nikomu krzywdy, ani inwidji.

Wtedy powstał hałas straszliwy. Liczne glosy wołały: „Do wotów! do wotów!“ — inni zaś: „Kto tu od pana Zagłoby sławniejszy? Kto większy rycerz? Kto żołnierz doświadczeńszy? Pana Zagłobę prosimy... Niech żyje pan Zaigłoba! Niech żyje regimentarz !“

— Niech żyje! niech żyje! — wrzeszczało coraz więcej gardzieli.

— Na szable opornych!... — krzyczeli znowu burzliwsi.

—• Niema opornych! unanimitate! [1] — odpowiadały tłumy.

— Niech żyje! On Gustawa Adolfa poraził! On Chmielnickiemu sadła za skórę nalał!

— I pułkowników samych ratował!

— I Szwedów pod Klawanami poraził!

— Vivat! vivat! Zagłoba dux! [2] Vivat! vivat!

I tłumy poczęły podrzucać czapki, biegać po obozie i szukać pana Zagłoby.

On zaś zdumiał się i zmieszał w pierwszej chwili, bo o godność nie zabiegał, chciał jej

[1] jednogłośnie. [2] wódz.

dla Skrzetuskiego, i takiego obrotu rzeczy się nie spodziewał.

To też gdy kilkutysięczny tłum począł wykrzykiwać jego nazwisko, tchu mu zabrakło i zaczerwienił się jak burak.

Wtem opadli go towarzysze; ale w uniesieniu wszystko tłumaczyli sobie na dobre, bo widząc jego zmieszanie, poczęli wołać:

— Patrzcie! jako panna się zapłonił! Modestja męstwu w nim równa! Niech żyje i niech nas do wiktorji prowadzi!

Tymczasem nadeszli i pułkownicy, radzi nieradzi, winszując godności, a niektórzy może i radzi byli, że współzawodników minęła. Pan Wołodyjowski tylko wąsikami coś ruszał, nie mniej od pana Zagłoby zdumiony, a Rzędzian, otworzywszy oczy i usta, patrzył z niedowierzaniem, ale już i z szacunkiem na pana Zagłobę, który zwolna do siebie przychodził, a po chwili wziął się w boki i głowę do góry zadarł, przyjmując z odpowiednią godności powagą życzenia.

Winszował pierwszy Żeromski od pułkowników, a potem od wojska przemówił bardzo wymownie towarzysz z chorągwi Kotowskiego, pan Żymirski, cytując maksymy różnych mędrców.

Zagłoba słuchał, głową kiwał; wreszcie, gdy mówca skończył, pan regimentarz przemówił w następujące słowa:

— Mości panowie! Clioćby kto w niezbrodzonym chciał prawdziwą utopić zasługę oceanie, albo niebotycznemi przysypać ją Karpatami, przecie ona, jakoby oleju przyrodzenie mając, nawierzch wypłynie, z pod ziemi się wydobędzie, ażeby do oczu ludzkich powiedzieć: „Jam jest, która się światła nie wzdragam, sądu nie lękam, nagrody czekam“. Ale że jako drogi kamień w złoto, tak cnota w modestję powinna być oprawiona, przeto pytam was, mości panowie, stojąc tu przed wami: Zalim się ze swemi zasługami nie krył? Zalim się przed wami chwalił? Zalim o tę godność, którąście mnie ozdobili, tentował? — Wyście to sami zasług mych dopatrzyli, bom ja i teraz jeszcze je negować gotów i powiedzieć wam: są tu lepsi ode mnie, jako pan Żeromski, pan Kotowski, pan Lipnicki, pan Kmicic, pan Oskierka, pan Skrzetuski, pan Wołodyjowski, tak wielcy kawalerowie, jakimi sama starożytność chlubićby się mogła... Przecz mnie, a nie którego z nich, obraliście sobie wodzem? Jeszcze czas... Zdejmcie mi tę godność z barków, a zacniejszego w ten płaszcz przyozdóbcie!

— Nie może być! nie może być! — zaryczały setne i tysiączne głosy.

— Nie może być! — powtórzyli pułkownicy, uradowani z publicznej pochwały, a chcący zarazem przed wojskiem swoją skromność okazać.

— Widzę i ja, że nie może być inaczej! — odrzekł Zagłoba, — niech się tedy wola waszmościów spełni. Dziękuję z serca, panowie bracia, i tak tuszę, że, da Bóg, nie zawiedziecie się w tej ufności, którąście we mnie położyli. Jako wy przy mnie, tak i ja do gardła stać przy was przyrzekam, a czyli wiktorję, czyli zgubę fata [1] nam niezbadane przyniosą, sama śmierć nas nie rozłączy, bo i po śmierci sławą się dzielić będziem!

Okrutne uniesienie zapanowało w zebraniu. Jedni do szabel się imali, drudzy łzy poczęli ronić; panu Zagłobie pot kroplami osiadł na łysinie, ale zapał w nim wzrastał:

— Przy królu naszym prawowitym, przy naszym elekcie [2], i przy miłej ojczyźnie stać będziem! — zakrzyknął — dla nich żyć! dla nich umierać! Mości panowie! jako ta ojczyzna ojczyzną, nigdy takowe klęski na nią nie spadły. Zdrajcy otworzyli wrota i niemasz już piędzi ziemi, kromie [3] tego województwa, w którejby nie grasował nieprzyjaciel. W was ojczyzny nadzieja, a we mnie wasza, na was i na mnie cała Rzeczpospolita ma oczy obrócone ! Ukażmyż jej, że niepróżno ręce wyciąga. Jak wy ode mnie męstwa i wiary, tak ja od was karności żądam i posłuszeństwa, a gdy będziemy zgodni, gdy przykładem naszym otworzymy oczy tym, których nieprzy-

---

[1] losy. [2] obranym królu. [3] z wyjątkiem.

jaciel uwiódł — tedy pół Rzeczypospolitej do nas się zleci! Kto ma Boga i wiarę w sercu, ten przy nas stanie, moce niebieskie nas wesprą, i któż nam wówczas sprosta?!

— Tak będzie! Dla Boga, tak będzie! Salomon mówi!... Bić! bić! — wołały grzmiące głosy.

A Zagłoba ręce ku północy wyciągnął i począł krzyczeć:

— Przychodź teraz, Radzi wille! przychodź, panie hetmanie! panie heretyku! Lucyperowy wojewodo! Czekamy cię, nie w rozproszeniu, ale w kupie, nie w dyskordji [x], ale w zgodzie, nie z papierami, paktami, ale z mieczami w ręku! Czeka cię tu wojsko cnotliwe i ja, regimentarz. Dalej! wychodź! dawaj Zagłobie pole! Wezwij czartów na pomoc i próbujmy się!... Wychodź!

Tu zwrócił się znów do wojska i krzyczał dalej, aż się w całym obozie rozlegało:

— Dla Boga, mości panowie! Proroctwa mnie wspierają! Zgody jeno, a pobijemy tych szelmów, pludrów, pończoszników, rybojadów i innych wszarzy, brodafjaszów [2], kożuszników, co w lato saniami jeżdżą!... Damy im pieprzu, aż pięty pogubią, umykając. Bijże tych psubratów, kto żyw! Bij, kto w Boga wierzy, komu cnota i ojczyzna miła!

---

[1] niezgodzie. [2] brodaczy.

Kilka tysięcy szabel zabłysło naraz. Tłumy otoczyły pana Zagłobę, cisną.. się, depcąc, popychając i wrzeszcząc:

— Prowadź! prowadź!

— Jutro poprowadzę! Gotować się! — krzyknął w zapale Zagłoba.

Wybór ów odbywał się rano, a po południu odbywał się przegląd wojska. Stały więc chorągwie na choroszczańskich błoniach, jedna przy drugiej w wielkim porządku, z pułkownikami i chorążymi na czele, a przed pułkami jeździł regimentarz, pod buńczukiem, z pozłocistą buławą w ręku i czaplem piórem przy czapce. Rzekłbyś: hetman urodzony! I tak przeglądał kolejno chorągwie, jak pasterz przegląda trzodę, a żołnierzom aż serca przybywało na widok tej wspaniałej postaci. Każdy pułkownik wyjeżdżał kolejno ku niemu, a on z każdym pogadał, coś pochwalił, coś zganił, i nawet ci z przywódców, którzy z początku nieradzi byli z wyboru, musieli przyznać w duchu, że z nowego regimentarza żołnierz bardzo materyj wojskowych świadom, dla którego przywództwo nie nowina.

Jeden tylko pan Wołodyjowski dziwnie jakoś wąsikami ruszał, gdy nowy regimentarz poklepał go na przeglądzie wobec innych pułkowników po ramieniu i rzekł:

— Panie Michale, kontent jestem z ciebie, bo chorągiew tak porządna, jako żadna nie

jest. Wytrwaj jeno tak dalej, a możesz być pewien, że cię nie zapomnę!

— Dalibóg! — szepnął pan Wołodyjowski Skrzetuskiemu, wracając z przeglądu, — coby mi mógł innego prawdziwy hetman powiedzieć?

Tego samego dnia rozesłał pan Zagłoba podjazdy w te strony, w które było trzeba, i w te, w które nie było potrzeby. Gdy wróciły nazajutrz rano, wysłuchał pilnie wszystkich doniesień, poczem udał się do kwatery pana Wołodyjowskiego, który mieszkał razem ze Skrzetuskimi.

— Przy wojsku muszę powagę zachowywać, — rzekł łaskawie, — ale gdyśmy sami, możemy w dawnej konfidencji zostawać... Tum przyjaciel, nie zwierzchnik! Waszą radą też nie pogardzę, choć własny rozum mam, gdyż wiem, żeście ludzie doświadczeni, jak mało żołnierzy w całej Rzeczypospolitej.

Przywitali go więc po dawnemu i wprędce „konfidencja“ zapanowała zupełna, jeden tylko Rzędzian nie śmiał być z nim jak dawniej, i na samym brzeżku ławy siedział.

— Co ojciec myślisz robić? — zapytał Jan Skrzetuski.

— Przedewszystkiem porządek i dyscyplinę utrzymać i żołnierzy zająć, żeby próżnowaniem nie sparcieli. Widziałem ja to dobrze, panie Michale, żeś jako sysun[1] mamrotał,

---

[1] tu: niemowlę.

gdym te podjazdy na cztery strony świata wysyłał, ale ja musiałem to uczynić, by ludzi do służby wdrożyć, bo znacznie pole zalegli. To raz, — a po wtóre: czego nam brak? Nie ludzi, bo nalazło i nalezie icli dosyć. Ta szlachta, która do Prus uciekła przed Szwedami z województwa mazowieckiego, także tu przyjdzie. Ludu i szabel nie zbraknie, jeno wiwendy nie dość, a bez zapasów żadne wojsko w świecie w polu nie wytrzyma. Owóż mam taką myśl, żeby podjazdom nakazać sprowadzać wszystko, co jeno im w ręce popadnie; bydło, owce, świnie, zboże, siano, i z tego województwa, i z ziemi widzkiej na Mazowszu, która także nie widziała dotąd nieprzyjaciela i wszystkiego ma obfitość,

— Ale to szlachta będzie wniebogłosy krzyczeć, —■ zauważył Skrzetuski, — jeżeli się im plon-i dobytek zabierze...

— Więcej mi znaczy wojsko, niż szlachta. Niech krzyczą! Zresztą, darmo się nie będzie brać, bo każę kwity wydawać, których tyle już nagotowałem przez dzisiejszą noc, że pół Rzeczypospolitej wziąćby można za nie w rekwizycję. Pieniędzy nie mam, ale po wojnie i po wypędzeniu Szwedów Rzeczpospolita to zapłaci. Co mi tam gadacie! Szlachcie gorzej, gdy wojsko zgłodniałe zajeżdża i rabuje. Mam też myśl lasy splondrować i, bo słyszę,

[1] tu: przetrząsnąć, przeszukać.

że tani siła chłopstwa z dobytkiem pouciekało. Niechże to wojsko Duchowi świętemu dziękuje, że je natchnął do obrania mnie regimentarzem, bo niktby tu inny sobie tak nie poradził.

— U waszej wielmożności senatorska głowa, to pewno! — rzekł Rzędzian.

— Co? hę? — rzekł Zagłoba, uradowany pochlebstwem; — i ciebie, szelmo, w ciemię nie bito. Rychło patrzeć, jak namiestnikiem cię uczynię, niech się jeno vacans otworzy.

— Dziękuję pokornie waszej wielmożności... — odpowiedział Rzędzian.

— Ot, moja myśl! — mówił dalej Zagłoba. — Naprzód wiwendy tyle zgromadzić, jakobyśmy mieli oblężenie wytrzymać, potem obóz warowny założymy, a wówczas niech przychodzi Radziwiłł ze Szwedami, czy z diabłami. Szelmą jestem, jeżeli tu drugiego Zbaraża nie uczynię!

— Jak mi Bóg miły, tak to grzeczna myśl, — zawołał Wołodyjowski, —■ jeno skąd dział weźmiemy?

— Pan Kotowski ma dwie haubice [x], u Kmicica jedna wiwatówka [2], w Białymstoku są cztery oktawy, które do zamku tykocińskiego miały być wyprawione; bo waćpanowie nie wiecie, że Białystok na utrzymanie zamku tykocińskiego przez pana Wiesiołow-

---

[1] rodzaj armat. [2] armatka, używana głównie do strzelania na wiwat.

skiego jest zapisany, i te armaty jeszcze zeszłego roku z czynszów zakupiono, o czem mi pan Stępalski, gubernator tutejszy, powiedział. Mówi też, że i prochów jest na sto strzałów do każdej. Damy sobie radę,-mości panowie, jeno popierajcie mnie z duszy, a i o ciele nie zapominajcie, któreby rade napić się czego, bo i pora już po temu.

Wołodyjowski kazał przynieść pić, i dalej gawędzili przy kielichach.

— Myśleliście, że będziecie mieć malowanego regimentarza — mówił Zagłoba, siorbając [1] zlekka miód wystały. — Nunąuam! [2] Nie prosiłem ja o ten fawor, ale kiedyście mnie nim przyozdobili, to i posłuch i porządek musi być. Wiem ja, co każda godność znaczy, i obaczycie, czy każdej nie dorosnę. Drugi Zbaraż tu urządzę, nic, jeno drugi Zbaraż! Zadławi się dobrze Radziwiłł, zadławią się i Szwedzi, nim mnie przełkną. Albo też chciałbym, by Chowański się o nas pokusił,— pochował jabym go tak, żeby go i na sąd ostateczny nie znaleźli. Niedaleko stoją, niech przyjdą! niech popróbują! Miodu, panie Michale!

Wołodyjowski nalał, pan Zagłoba duszkiem wypił, zmarszczył brwi, i jakby sobie coś przypominając, rzekł:

---

[1] chłeptajęc. [2] nigdy!

— O czeni to ' ja mówiłem? Czego to ja chciałem?... Aha! — miodu, panie Michale !

Wołodyjowski nalał znowu.

— Powiadają, — mówił Zagłoba, — że i pan Sapieha lubi w dobrej kompanji pociągnąć. Nie dziw! każdy zacny człowiek to lubi. Zdrajcy tylko, którzy nieszczere myśli dla ojczyzny żywią, boją się wina, żeby się z praktyk nie wygadać. Radziwiłł brzezinowy sok pija, a po śmierci będzie smołę pijał. Tak mi Pan Bóg dopomóż! Zgaduję to snadnie, że się z panem Sapiehą pokochamy, bośmy do siebie podobni, jako jedno ucho końskie do drugiego, albo jak para butów. I przytem on jeden regimentarz, ja drugi, — ale już tak tu wszystkie sprawy urządzę, żeby, jak on przyjedzie, wszystko było gotowe. Siła rzeczy na mojej głowie, ale cóż robić! Nie ma kto w ojczyźnie myśleć, to ty myśl, stary Zagłobo, póki ci pary W nozdrzach. Najgorsza sprawa, że kancelarji nie mam.

— A poco ojcu kancelarja? — pytał Skrzetuski.

— A poco król ma swego kanclerza? A poco przy wojsku musi być pisarz wojskowy? Trzeba będzie i tak posłać do jakiego miasta, żeby mi pieczęć zrobili.

-— Pieczęć?... — powtórzył z zachwytem Rzędzian, spoglądając z coraz większem uszanowaniem na pana Zagłobę.

— A co waćpan będziesz pieczętował? — pytał Wołodyjowski.

— W tak poufałej kompanji możesz mi, panie Michale, mówić po dawnemu: „waćpan“... Nie ja będę pieczętował, ale mój kanclerz... To sobie naprzód zakonotujcie!

Tu Zagłoba spojrzał z dumą i powagą po obecnych, aż Rzędzian zerwał się z ławy, a pan Stanisław Skrzetuski mruknął:

— Honores mutant mores! [1]

— Poco mnie kancelarja? Posłuchajcie jeno — mówił pan Zagłoba. — Naprzód wiedzcie o tem, że te klęski, które na ojczyznę naszą spadły, według mojego mniemania nie z innej przyczyny przyszły, jak z rozpusty, jak ze swawoli i zbytków (miodu, panie Michale!), jak ze zbytków, mówię, które nakształt zarazy nas toczą. Ale w pierwszym rzędzie, z przyczyny heretyków, coraz śmielej prawdziwej wierze bluźniących, z ujmą dla Przenajświętszej Patronki naszej, która o te bezeceństwa w słuszną cholerę wpaść mogła...

— To słusznie mówi! — ozwali się chórem rycerze, — dysydenci pierwsi przystali do nieprzyjaciół, a kto wie, czy nie sami ich sprowadzili? !

— Exemplum hetman wielki litewski!

— Lecz że i w tem województwie, gdzie ja jestem regimentarzem, także heretyków nie

[1] zaszczyty zmieniają obyczaje.

brak, jako w Tykocinie i w innych miejscach, przeto dla zyskania na początek błogosławieństwa Bożego dla naszej imprezy, wyda się uniwersał, aby, kto w błędach żyje, we trzech dniach z nich się nawrócił, a tym, którzy tego nie uczynią, majętności mają być na wojsko skonfiskowane.

Rycerze spoglądali na siebie ze zdumieniem. Wiedzieli, że nie zbywa panu Zagłobie na obrotnym rozumie i fortelach, ale nie przypuszczali, aby pan Zagłoba był takim statystą i tak doskonale umiał sprawy publiczne sądzić.

— I wy się pytacie, — rzekł z triumfem Zagłoba, — skąd wezmę pieniędzy na wojsko?... A konfiskaty? a wszystkie dobra radziwiłłowskie, które tern samem przejdą na własność wojska?

— Czy aby będzie prawo po naszej stronie? — wtrącił Wołodyjowski.

— Dziś takie czasy, że kto ma szablę, ten ma prawo! A jakie prawo mają Szwedzi i ci wszyscy nieprzyjaciele, którzy w granicach Rzeczypospolitej grasują?

— Prawda jest! — odpowiedział z przekonaniem pan Michał.

— Niedość na tern! — zawołał, zapalając się, Zagłoba. — Drugi uniwersał wyda się do szlachty województwa podlaskiego i do tych ziem w województwach sąsiednich, które jeszcze nie są w nieprzyjacielskich ręku, aby

jako na pospolite ruszenie stawały. Szlachta ma czeladź uzbroić, aby nam piechoty nie brakło. Wiem to, że niejedenby rad iść, jeno się za jakiem pismem i za jakimś rządem ogląda. Będą tedy mieli i rząd i uniwersały...

— Waćpan naprawdę tyle masz rozumu, ile kanclerz wielki koronny! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Miodu, panie Michale!... Trzecie pismo wyśle się do Chowańskiego, by sobie szedł do paralusa [1], — a nie, to go ze wszystkich miast i zamków wykurzymy. Stojąc oni teraz wprawdzie na Litwie spokojnie i zamków nie dobywają, ale Kozacy Zołtareńkowi rabują, kupami po tysiącu i dwa jeżdżąc. Niechże ich powstrzyma, bo inaczej będziem ich znosić.

— Pewnie, że moglibyśmy to robić — rzekł Jan Skrzetuski; — wojsko nie zależa-łoby pola.

— Myślę ja nad tern i właśnie ku Wołko-wyskowi dziś nowe podjazdy wysyłani, ale et haec facienda, et haec non omittenda... [2] Czwarte pismo chcę posłać do naszego elekta, pana dobrego, aby go w smutku pocieszyć, że przecie jeszcze są tacy, którzy go nie opuścili, że są serca i szable na jego skinienie gotowe. Niechże na obczyźnie ma choć tę pociechę nasz ojciec, nasz pan kochany, nasza krew jagiellońska, która tułać się musi oto... oto...

---

[1] tu: do choroby. [2] i to należy zrobić, i tamtego nie trzeba pominąć.

Tu pan Zagłoba zakrztusił się, bo już miał mocno w głowie, i wreszcie ryknął z żałości nad losem królewskim, a pan Michał zaraz mu zawtórował trochę cieniej. Rzędzian chlipał także, albo udawał, że chlipie, a Skrzetuscy wsparli głowy na rękach i siedzieli w milczeniu.

Przez chwilę cisza trwała, nagle pan Zagłoba wpadł w złość.

— Co mi tam elektor! — krzyknął. — Kiedy zawarł pakt z miastami pruskiemi, niechże występuje w pole przeciw Szwedom, niech nie praktykuje na obie strony, niech uczyni to, co wierny lennik czynić powinien, i w obronie pana swego i dobrodzieja stawa.

— Kto tam zgadnie, czy on się jeszcze za Szwedami nie opowie? — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Za Szwedami się opowie? To ja mu się opowiem! Pruska granica niedaleko, a u mnie kilka tysięcy szabel na zawołanie! Zagłoby w pole nie wywiedzie! Jako mnie tu widzicie, jakom regimentarz nad tern zacnem wojskiem, tak go ogniem i mieczem nawiedzę. Niema wiwendy? — dobrze! Znajdziemy jej dość w pruskich gumnach!

— Matko Boska! — zakrzyknął w uniesieniu Rzędzian. — Wasza wielmożność już i koronowanym głowom zdzierży.

— Zaraz do niego napiszę: „Mości elektorze! Dość kota ogonem odwracać! Dość wy-

krętów i mitręgi! Wychodź przeciw Szwedom, a nie, to ja w odwiedziny do Prus przyjadę. Nie może inaczej być...“ Inkaustu, piór, papieru! Rzędzian, pojedziesz z pismem!

— Pojadę! — rzekł dzierżawca iz Wąsoszy, uradowany nową godnością.

Lecz nim przygotowano panu Zagłobie inkaust, pióra i papier, krzyki wszczęły się przed domem, i tłumy żołnierzy zaczerniały przed oknami. Jedni krzyczeli: „vivat!“ — drudzy hałłakowali po tataraku. Zagłoba z towarzyszami wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Pokazało się, że prowadzą owe oktawy, o których pan Zagłoba wspominał, a których widok rozradował teraz serca żołnierskie.

Pan Stępalski, gubernator białostocki, przystąpił do pana Zagłoby i przemówił:

— Jaśnie wielmożny regimentarzu ! Od czasu, jak nieśmiertelnej pamięci pan marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego zapisał dobra białostockie na utrzymanie zamku tykocińskiego, ja, będąc tychże dóbr gubernatorem, wiernie i poczciwie wszelkie czynsze na pożytek tegoż zamku obracałem, czego i rejestrami mogę przed całą Rzecząpospolitą dowieść. Tak przeszło dwadzieścia lat pracując, opatrywałem on zamek w prochy, działa i spyżę, mając to sobie za święty obowiązek, aby każdy grosz tam szedł, dokąd jaśnie wielmożny marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego iść mu nakazał. Ale gdy w zmiennej

losów kolei zamek tykociński został nieprzyjaciół ojczyzny największą w tem województwie podporą, pytałem się Boga i własnego sumienia, zali mam mu i nadal siły przysparzać, zali nie powinienem tych dostatków i wojennych porządków, z tegorocznego czynszu nagromadzonych, do waszej wielmożności rąk oddać...

— Powinieneś... — przerwał z powagą pan Zagłoba.

— O jedno też jeno proszę, aby wasza wielmożność raczyła wobec całego wojska zaświadczyć i na piśmie mnie pokwitować, jako nic z onych dóbr na własny pożytek nie obróciłem i wszystko w ręce Rzeczypospolitej, godnie tu przez władzę jaśnie wielmożnego regimentarza reprezentowanej, zdałem.

Zagłoba kiwnął głową na znak przyzwolenia i zaraz zaczął przeglądać rejestry.

Pokazało się, że prócz oktaw, na strychach śpichrzów ukrytych, jest i trzysta muszkietów niemieckich bardzo porządnych, dwieście berdyszów moskiewskich dla piechoty, do obrony murów i wałów, i sześć tysięcy złotych gotowizny.

— Pieniądze między wojsko się rozdzieli,— rzekł Zagłoba, — a co do muszkietów i berdyszów...

Tu obejrzał się naokoło.

— Panie Oskierka, — rzekł, — weźmiesz je waść i pieszą chorągiew uformujesz... Jest

tu trochę piechoty z radziwiłłowskicli zbiegów, a ilu braknie, tylu z młynarzy dobierzesz.

Poczem zwrócił się do wszystkich obecnych :

— Mości panowie! Są pieniądze, są działa, będzie piechota i wiwenda... Takie moje rządy na początek!

— Vivat! — krzyknęło wojsko.

— A teraz, mości panowie, wszyscy pachołcy wskok po wsiach po rydle, łopaty i motyki. Obóz warowny założym, Zbaraż drugi! Jeno, towarzysz, czy nie towarzysz, niech się nie wstydzi łopaty, i do roboty!

To rzekłszy, pan regimentarz udał się do swojej kwatery, przeprowadzony okrzykami wojska.

—• Dalibóg że ten człowiek ma jednak głowę na karku — mówił do Jana Skrzetuskiego Wołodyjowski — i rzeczy zaczynają iść lepszym porządkiem.

— Byle tylko Radziwiłł zaraz nie nadszedł, — wtrącił Stanisław Skrzetuski, — bo to wódz, jak drugiego niemasz w Rzeczypospolitej, a nasz pan Zagłoba dobry do prowjantowania obozu, ale nie jemu mierzyć się z takim wojennikiem.

— Prawda jest! — odpowiedział Jan; — jak przyjdzie co do czego, to go będziem radą wspomagali, bo on się na wojnie mniej rozumie. Zresztą, skończy się jego panowanie, niech tylko pan Sapieha nadciągnie.

— Ale przez ten czas siła dobrego może zrobić — rzekł pan Wołodyjowski.

Jakoż istotnie wojska owe potrzebowały jakiegokolwiek naczelnika, choćby nawet pana Zagłoby, bo od dnia jego wyboru lepszy ład zapanował w obozie. Nazajutrz dzień poczęto sypać wały nad białostockiemi stawami. Pan Oskierka, który w cudzoziemskich wojskach sługiwał i znał się na sztuce sypania obronnych miejsc, kierował całą robotą. Powstał więc w trzech dniach nader silny okop, naprawdę podobien nieco do zbaraskiego, bo boków i tyłu broniły mu błotniste stawy. Widok jego podniósł serca żołnierzy; całe wojsko poczuło, że ma jakowyś grunt pod nogami. Lecz jeszcze bardziej począł się duch krzepić na widok zapasów żywności, sprowadzanych przez silne podjazdy. Codziennie wpędzano do okopu woły, owce, świnie, codzień szły fury, wiozące wszelakie ziarno i siano. Niektóre przychodziły aż z ziemi łukowskiej, inne aż z widzkiej. Napływała także coraz liczniej szlachta drobna i większa, albowiem gdy wieść się rozeszła, że jest już rząd, wojsko i regimentarz, więcej też znalazło się w ludziach ufności. Mieszkańcom ciężko było żywić „całą dywizję“, ale, po pierwsze, pan Zagłoba o to nie pytał, po wtóre, lepiej było oddać na wojsko połowę, a reszty w spokoju zażywać, niż być narażonym co chwila na stratę wszystkiego od kup swawolnych, które

rozmnożyły się były znacznie i grasowały na-kształt Tatarów, a które pan Zagłoba nakazał podjazdom ścigać i znosić.

— Jeśli takim okaże się hetmanem, jakim jest gospodarzem, — mówiono o nowym re-gimentarzu w obozie, — tedy Rzeczpospolita nie wie jeszcze, jak wielkiego ma męża.

Sam pan Zagłoba myślał z pewnym niepo-kojem o przyjściu Janusza Radziwiłła. Przy-pominał sobie wszystkie zwycięstwa Radzi-wiłła, a wówczas postać hetmańska przybie-rała potworne kształty w wyobraźni nowego regimentarza i w duszy sobie mówił:

— Oj! kto się tam temu smokowi oprze!... Mówiłem, że się mną zadławi, — ale on mnie, jako sum kaczkę, połknie.

I obiecywał sobie pod przysięgą nie wyda-wać jeneralnej bitwy Radziwiłłowi.

— Będzie oblężenie, — myślał, — a to zawsze długo trwa. Można też będzie i trakta-tów tentować, a przez ten czas pan Sapieha nadejdzie.

Na wypadek, gdyby nie nadszedł, postano-wił sobie pan Zagłoba słuchać we wszystkiem pana Jana Skrzetuskiego, gdyż pamiętał, jak książę Jeremi cenił wysoko tego oficera i jego zdolności wojskowe.

— Ty, panie Michale, — mówił pan Za-głoba do Wołodyjowskiego, — jenoś do ataku stworzony, albo i z podjazdem, chociażby znacznym, można cię wysłać, bo umiesz się

sprawić i, jako wilk na owce, na nieprzyjaciela wpadniesz; ale gdyby ci calem wojskiem hetmanić kazano, pasz! [1] pasz! Sklepu z rozumem nie założysz, bo go na sprzedanie nie posiadasz, — a Jan, to regimentarska głowa, i gdyby mnie nie stało, on jeden mógłby mnie zastąpić.

Tymczasem przychodziły wieści odmienne; raz donoszono, że Radziwiłł już idzie przez Prusy elektorskie, drugi raz, że pobiwszy wojska Chowańskiego, zajął Grodno i stamtąd ciągnie z wielką potęgą; ale byli i tacy, którzy twierdzili, że to nie Radziwiłł, jeno Sapieha poraził Chowańskiego przy pomocy księcia Michała Radziwiłła. Podjazdy jednak nie przywoziły żadnych pewnych wieści, prócz tych, że pod Wołkowyskiem stanęła kupa Zołtareńkowych ludzi, wynosząca około dwóch tysięcy wojowników, i miastu zagraża. Okolica cała płonęła już ogniem.

W dzień po podjazdach zaczęli napływać i zbiegowie, którzy potwierdzili wiadomość, donosząc przytem, że mieszczanie wyprawili posłów do Chowańskiego i Zołtareńki z prośbą o miłosierdzie nad miastem, na co uzyskali od Chowańskiego odpowiedź, że to jest luźna wataha, nie mająca z jego wojskiem nic wspólnego. Co do Zołtareńki, ten dał mieszczanom radę, by się wykupili, lecz oni,

---

[1] już koniec!

jako ubodzy ludzie, po niedawnym pożarze i kilkunastu rabunkach, nie mieli czem.

Błagali więc o miłosierdzie pana regimentarza, aby im na ratunek pośpieszył, póki układy o wykup się prowadzą, bo później nie będzie już czasu. Pan Zagłoba wybrał półtora tysiąca ludzi dobrych, między którymi chorągiew laudańską, i przywoławszy Wołodyjowskiego, rzekł mu:

— No, panie Michale, czas pokazać, co umiesz! Pójdziesz pod Wołkowysk i zetrzesz mi tam tych hultajów, którzy miastu nieobronnemu grożą. Nie pierwszyzna ci taka wyprawa i myślę, że za fawor sobie poczytasz, że tobie tę funkcję powierzam.

Tu zwrócił się do innych pułkowników:

— Sam muszę w obozie zostać, bo cała odpowiedzialność na mnie, — to raz! A po wtóre, nie przystoi mojej godności na hultajów wyprawy czynić. Niech jeno Radziwiłł nadciągnie, tedy się w wielkiej wojnie pokaże, kto lepszy: czy pan hetman, czy pan regimentarz...

Wołodyjowski ruszył chętnie, bo się nudził w obozie i tęsknił za krwi rozlewem. Komenderowane chorągwie wychodziły też ochoczo ze śpiewaniem, a regimentarz stał konno na wale i błogosławił odchodzących, żegnając ich krzyżem na drogę. Byli nawet tacy, którzy dziwili się, że pan Zagłoba tak uroczyście ów podjazd wyprawia, ale on pamiętał, że i Żół-

kiewski i inni hetmani mieli zwyczaj żegnać idące do boju chorągwie — zresztą, lubił wszystko czynić uroczyście, bo to powagę jego w oczach żołnierzy podnosiło.

Zaledwie jednak chorągwie znikły we mgle oddalenia, gdy już zaczął się o nie niepokoić.

— Janie! — rzekł — a możeby podesłać jeszcze Wołodyjowskiemu z garść ludzi?

— Daj ojciec pokój — odpowiedział Skrzetuski. — Wołodyjowskiemu na taką wyprawę iść, to to samo, co zjeść miskę jajecznicy. Boże miły, toż on całe życie nic innego nie robił.

— Ba! a jeśli go za wielka siła opadnie?... Nec Hercules contra plures.

— Co tu o takim żołnierzu gadać! Spenetruje [1] on wszystko dobrze, zanim uderzy, a jeśli tam siła za wielka, to urwie co będzie mógł i wróci, albo sam przyśle o posiłki. Możesz ojciec spać spokojnie.

— Aha! wiedziałem też, kogo wysyłam, ale to ci mówię, że rnusiał mi ten pan Michał czegoś zadać, taką mam do niego słabość. Prócz nieboszczyka pana Podbipięty i ciebie, nikogom tak nie miłował... Nie może być inaczej, tylko mi ów chłystek czegoś zadał.

Upłynęło trzy dni.

Do obozu zwożono ciągle prowjanty, ochotnicy także nadciągali, ale o panu Michale nie

[1] wybada.

było słychu. Niepokój Zagłoby wzrastał, i mimo przedstawień Skrzetuskiego, że żadną miarą nie mógł jeszcze Wołodyjowski z pod Wołkowyska wrócić, wyprawił pan Zagłoba sto koni petyhorskicli Kmicica po wiadomości.

Ale podjazd wyszedł, i znowu upłynęło dwa dni bez wieści.

Aż siódmego dnia dopiero, o szarym, mglistym zmierzchu, pachołcy, wyprawieni po potrawy do Bobrownik, przyjechali bardzo śpiesznie napowrót do obozu z doniesieniem, że widzieli jakieś wojsko, wychodzące z lasów za Bobrownikami.

— Pan Michał! — zakrzyknął radośnie Zagłoba.

Lecz pachołcy przeczyli. Nie pojechali na spotkanie właśnie dlatego, że widzieli jakieś znaki obce, których w wojsku pana Wołodyjowskiego nie było. A przytem siła szła większa. Pachołcy, jak to pachołcy, nie umieli jej dokładnie oznaczyć; jedni mówili, że ze trzy tysiące, drudzy, że pięć albo i więcej.

— Wezmę dwadzieścia koni i pojadę na spotkanie — rzekł pan rotmistrz Lipnicki.

Pojechał.

Upłynęła godzina, i druga, aż wreszcie dano znać, że zbliża się nie podjazd,' ale całe wielkie wojsko.

I niewiadomo dlaczego, gruchnęło nagle po obozie:

— Radziwiłł idzie!

Wieść ta, jakby iskra elektryczna, poruszyła i wstrząsnęła cały obóz; żołnierze wypadli na wały, na niektórych twarzach znać było przestrach; nie stawano w należytym porządku; jedna tylko piechota Oskierki zajęła wskazane miejsca. Natomiast między wolentarzami wszczął się w pierwszej chwili popłoch. Z ust do ust przelatywały najrozmaitsze wieści. „Radziwiłł zniósł zeszczętem Wołodyjowskiego i ten drugi Kmicicowy podjazd“ — powtarzali jedni. — „Ani świadek klęski nie uszedł“ — mówili drudzy. — „A ot teraz pan Lipnicki jakoby pod ziemię się zapadł“. — „Gdzie regimentarz? gdzie regimentarz?“

Wtem przypadli pułkownicy ład czynić, a że prócz niewielu wolentarzy, zresztą sam stary żołnierz był w obozie, wnet stanęli w sprawie, czekając, co się okaże.

Pan Zagłoba, gdy go doszedł okrzyk: „Radziwiłł idzie!“ — zmieszał się bardzo, ale w pierwszej chwili wierzyć nie chciał. Cóżby się stało z Wołodyjowskim? Czyliby się pozwolił tak ogarnąć, żeby ani jeden człowiek nie przybiegł z ostrzeżeniem? A ów drugi podjazd? A pan Lipnicki?

— Nie może być! -— powtarzał sobie pan Zagłoba, obcierając czoło, które pociło mu się obficie. — Ten smok, ten mężobójca, ten lucyper, miałby już z Kiejdan zdążyć? Zali to ostatnia godzina się zbliża?!

Tymczasem ze wszystkich stron coraz liczniejsze głosy wołały: „Radziwiłł! Radziwiłł!“ — Pan Zagłoba przestał wątpić. Zerwał się i wpadł do kwatery Skrzetuskiego.

— Janie, ratuj! teraz pora!

— Co się stało? — pytał Skrzetuski.

— Radziwiłł idzie! Na twoją głowę wszystko zdaję, bo o tobie książę Jeremi mówił, żeś wódz urodzony. Ja sam będę doglądał, ale ty radź i prowadź!

— To nie może być Radziwiłł — rzekł Skrzetuski. — Skądże wojsko nadciąga?

— Od Wołkowyska. Mówią, że ogarnęli Wołodyjowskiego i tamten drugi podjazd, który niedawno posłałem.

— Wołodyjowski dałby się ogarnąć? To ojciec jego nie znasz. On to sam wraca, nikt inny.

— Kiedy mówią, że potęga okrutna.

— Chwała Rogu! to widać pan Sapieha nadciągnął.

— Na Boga! co mówisz? przecieby dali znać, — Lipnicki pojechał naprzeciw...

— Właśnie to dowód, że nie Radziwiłł idzie. Poznali kto, przyłączyli się, i razem wracają. Chodźmy! chodźmy!

— Zaraz to mówiłem! — zakrzyknął Zagłoba. — Wszyscy się stropili, a ja pomyślałem: nie może być! Zaraz to pomyślałem! Chodźmy! żywo, Janie! żywo! A tamci się skonfundowali... ha!

Obaj wyszli śpiesznie, i wstąpiwszy na wały, na których już wojska tkwiły, poczęli iść wpodłuż; ale twarz Zagłoby była promienna, przystawał co chwila i wołał, ażeby go wszyscy słyszeli:

— Mości panowie! gości mamy! serca mi nie tracić! Jeśli to Radziwiłł, to ja mu drogę napowrót do Kiejdan pokaźę!

— Pokażemy mu! — krzyczało wojsko.

— Stosy na wałach rozpalić! Nie będziem się chowali, niech nas widzą, gotowiśmy! Stosy rozpalić!

Wnet naniesiono drew, i w kwadrans później zapłonął cały obóz, aż niebo zaczerwieniło się, jakoby od zorzy. Żołnierze, odwracając się od światła, patrzyli w ciemność, w stronę Bobrownik. Niektórzy wołali, że słyszą już chrzęst i tętent.

Wtem w ciemnościach rozległy się zdaleka strzały muszkietów. Pan Zagłobii porwał za połę Skrzetuskiego.

-— Ogień rozpoczynają! — rzekł niespokojnie.

— Na wiwaty — odparł Skrzetuski.

Po strzałach rozległy się okrzyki radosne. Nie było co dłużej wątpić; w minutę później nadbiegło na spienionych koniach kilkunastu jeźdźców, wołając:

— Pan Sapieha! pan wojewoda witebski!

Zaledwie to usłyszeli żołnierze, gdy jak wezbrana rzeka płynęli z wałów i biegli na-

przeciw, wrzeszcząc tak, że ktoś, coby słyszał zdała te głosy, mógłby mniemać, że to wycinanego w pień miasta rwrzaski.

Zagłoba, siadłszy na koń, wyjechał także na czele pułkowników przed wały, przybrany we wszystkie oznaki swej godności: pod buńczukiem, z buławą i czaplem piórem przy czapce.

Po chwili pan wojewoda witebski wjechał w krąg światła, na czele swych oficerów, mając i pana Wołodyjowskiego przy boku. Był to człowiek już w wieku poważnym, średniej tuszy, o twarzy nie pięknej, ale rozumnej i dobrotliwej. Wąsy miał już siwe, równo nad górną wargą przystrzyżone, i takąż niewielką bródkę, co czyniło go podobnym do cudzoziemca, choć się po polsku ubierał. Jakkolwiek wielu dziełami wojennemi wsławiony, wyglądał więcej na statystę, niż na wojownika; ci, którzy go bliżej znali, mówili też, że w obliczu pana wojewody Minerwa [1] nad Marsem przemaga. Ale obok Minerwy i Marsa, była w tej twarzy rzadsza w owych czasach ozdoba, to jest uczciwość, która z duszy płynąc, odbijała się w oczach, jak światło słońca w wodzie. Na pierwszy rzut oka poznali, że był to mąż zacny i sprawiedliwy.

— My tak czekali, jak za ojcem! — wołali żołnierze.

---

[1] rzymska bogini nauk; tu: uczoność.

— A taki przyszedł nasz wódz! — powtarzali z rozczuleniem inni.

— Vivat! vivat!

Pan Zagłoba skoczył ku niemu na czele pułkowników, a on konia wstrzymał i począł się kłaniać rysim kołpaczkiem.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rozpoczął przemowę Zagłoba. — Choćbym starożytnych Rzymian, ba! i samego Cycerona, albo, sięgając dawniejszych czasów, słynnego owego Ateńczyka Demostenesa posiadał wymowę, jeszczebym nie umiał tej radości wypowiedzieć, jaką wezbrały serca nasze na widok dostojnej jaśnie wielmożnego pana osoby. Cieszy się w sercach naszych cała Rzeczpospolita, najmędrszego witając senatora i najlepszego syna, tern większą, bo niespodzianą radością. Oto staliśmy na tych okopach pod bronią, nie witać, ale walczyć gotowi... Nie radosnych słuchać okrzyków, ale spiżowych gromów... Nie łzy wylewać, ale krew naszą!... Gdy zatem stujęzyczna fama [1] rozniosła, że obrońca to ojczyzny, nie zdrajca, nadchodzi, że wojewoda witebski, nie hetman wielki litewski, że Sapieha, nie Radziwiłł...

Lecz panu Sapieże pilno widać było wjechać, bo nagle kiwnął ręką z dobroduszną, choć wielkopańską niedbałością, i rzekł:

---

[1] wieść.

— Idzie i Radziwiłł. We dwóch dniach już tu będzie!

Pan Zagłoba zmieszał się, bo raz, że mu się wątek mowy przerwał, a po wtóre, iż wieść o Radziwille wielkie na nim uczyniła wrażenie. Stał więc przez chwilę przed panem Sapiehą, nie wiedząc, co dalej mówić; lecz prędko oprzytomniał, i wyciągnąwszy śpiesznie buławę z za pasa, rzekł uroczyście, przypominając sobie, co było pod Zbarażem:

— Mnie wojsko wodzem swym uczyniło, lecz ja w godniejsze ręce ów znak oddaję, aby młodszym dać przykład, jak pro publico bono największych zaszczytów zrzec się należy.

Żołnierze zaczęli pokrzykiwać, lecz pan Sapieha uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Panie bracie! aby was tylko Radziwiłł nie posądził, że ze strachu przed nim buławę oddajecie... Byłby rad!

— Już on mnie zna, — odparł Zagłoba, — i o bojaźń nie posądzi, bom go pierwszy w Kiejdanacli splantował i innych przykładem pociągnąłem.

— Kiedy tak, to prowadźcie do obozu — rzekł Sapieha. — Powiadał mi przez drogę Wołodyjowski, żeście przedni gospodarz i że jest u was się czem pożywić, a myśmy strudzeni i głodni.

To rzekłszy, ruszył koniem, a za nim ruszyli inni, i wjechali wszyscy do obozu,

wśród niezmiernej radości. Pan Zagłoba przypomniał sobie, co o panu Sapieże mówią, że się w ucztach i kielichach kocha, więc postanowił godnie uczcić dzień jego przybycia. Jakoż wystąpił z ucztą tak wspaniałą, jakiej dotąd w obozie nie było. Jedli wszyscy i pili. Przy kielichach opowiadał pan Wołodyjowski, co pod Wołkowyskiem zaszło, jak nagle otoczyły go znacznie większe siły, które zdrajca Zołtareńko na pomoc wysłał, jak już ciężko było, gdy nagle przyjście pana Sapiehy zmieniło rozpaczliwą obronę w najświetniejsze zwycięstwo.

— Daliśmy im takie pro memoria [x], — mówił, — że odtąd ucha z obozu nie wytkną.

Poczem rozmowa zeszła na Radziwiłła. Pan wojewoda witebski miał bardzo świeże wiadomości, i wiedział przez zaufanych ludzi o wszystkiem, co się w Kiejdanach stało. Opowiadał więc, że wysłał hetman litewski niejakiego Kmicica z listem do króla szwedzkiego i z prośbą, aby z dwóch stron razem uderzyć na Podlasie.

— Dziw mi to nad dziwy! — zawołał Zagłoba — bo gdyby nie ten Kmicic, to do tej pory nie zebralibyśmy się w kupę i mógł nas zjeść Radziwiłł, gdyby był nadszedł, jednego po drugim, jako siedleckie obwarzanki.

---

[1] pamiątkę.

— Powiadał mi to wszystko pan Wołodyjowski, — odrzekł Sapieha, — z czego wnoszę, że ma on chyba do was osobisty afekt. Szkoda, że dla ojczyzny go nie ma. Ale tacy ludzie, którzy nic nad siebie nie widzą, nikomu dobrze nie służą i każdego tak zdradzić gotowi, jako w tym przypadku Kmicic Radziwiłła.

— Jeno między nami niemasz zdrajców i wszyscyśmy do gardła przy jaśnie wielmożnym wojewodzie stać gotowi! — rzekł Żeromski.

— Wierzę, że tu sami zacni żołnierze, — odparł wojewoda, — i anim się spodziewał, bym tu taki ład i dostatek zastał, za co jegomość panu Zagłobie muszę być wdzięczny.

Pan Zagłoba aż pokraśniał z zadowolenia, bo jakoś mu się dotąd wydawało, że jakkolwiek wojewoda witebski traktuje go łaskawie, przecie nie z takiem uznaniem i powagą, jakiejby sobie pan eks-regimentarz życzył. Począł więc opowiadać, jak rządził, co uczynił, jakie zapasy zebrał, jak działa sprowadził i piechotę uformował, wreszcie jak obszerną rnusiał prowadzić korespondencję.

I nie bez chełpliwości wspomniał o listach, wysłanych do króla wygnanego, do Chowańskiego i elektora.

— Po moim liście musi się jegomość elektor jasno opowiedzieć za nami, albo przeciw[7] nam — rzekł z dumą.

Ale wojewoda witebski był człek wesoły, może też i podochocił trochę, więc pogładził wąsa, uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

— Panie bracie, a do cesarza niemieckiego nie pisaliście?

— Nie! — rzekł zdziwiony Zagłoba.

— A to szkoda! — odrzekł wojewoda; — rozmawiałby równy z równym.

Pułkownicy wybuchnęli gromkim śmiechem, lecz pan Zagłoba zaraz okazał, iż jeśli pan wojewoda chciał być kosą, to w nim trafił na kamień.

— Jaśnie wielmożny panie! — rzekł — do elektora mogę pisać, bom i sam, jako szlachcic, elektor, i nie tak to dawno jeszcze, jakom dawał głos za Janem Kazimierzem.

— Toś waćpan dobrze wywiódł! — odpowiedział wojewoda witebski.

— Ale z takim potentatem jak cesarz, nie koresponduję, — mówił dalej Zagłoba, — żeby o mnie nie powiedział pewnego przysłowia, którem na Litwie słyszał...

— Cóż to za przysłowie?

— „Jakaś głowa kiepska — musi być z Witebska!“ — odparł niezmieszany Zagłoba.

Słysząc to pułkownicy, aż zalękli się, ale wojewoda witebski przechylił się wtył i wziął się w boki ze śmiechu.

— A to mnie »plantował!... Niechże waści uściskam!... Jak będę chciał brodę golić, to języka od waści pożyczę!

Uczta przeciągnęła się do późna w noc; przerwało ją dopiero przybycie kilku szlachty z pod Tykocina, którzy przywieźli wieść, że podjazdy Radziwiłłii sięgają już tego miasta.

DRUKARNIA OSSOLINEUM
LWÓW